

# TYGODNIK

CENA  
50 GR.

# KOBIETY

Nr. 5  
2 lutego  
1936 r.





1. SUKNIA WIECZOROWA CZARNA W FANTAZYJNE KWIATY. SORTIE Z CZARNEGO AKSAMITU. MODEL FIRMY LOUISE BOULANGER.

2. SUKNIA WIZYTOWA CZARNA Z BIAŁYM - APLIKACJE I HAFT CZARNO-SZARE. MODEL FIRMY JEANETTE.

3. SUKNIA BALOWA Z CZARNEGO AKSAMITU PRZYBRANA GUZAMI Z JEDWABNEGO SZNURA. MODEL FIRMY ADRIAN.





# TYGODNIK KOBIET

Rok II Nr. 5.

2 lutego 1936 r.

## PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO NAS

W historyczny w naszych dziejach czwartek (23 stycznia), pomimo zapału i wiary, niepokój ściszał serca szczupłego grona „chrzestnych matek” Kobiecej Spółdzielni Wydawniczej.

Wynik pierwszego plenarnego zebrania **Spółdzielni**, wyznaczonego na godzinę 19 minut 30 w sali Tow. Krajoznawczego, miał dopiero zadokumentować zwycięstwo lub porażkę, stać się dowodem zapału i entuzjazmu dla nowonarodzonej idei, albo obojętności, swoistej ostatniej dobie ogólnego znużenia.

Na dwie godziny przed terminem zebrania sala pulsuje już życiem.

Ostatnie przygotowania. Gorączkowo wystukiwany na maszynie „porządek obrad”, długa lista nazwisk, pod którymi rozesłano zaproszenia; stosy numerów okazowych Tygodnika.

W gorączkowym nastroju czas mija z nieprawdopodobną szybkością. Ale zanim jeszcze wydzwoniła decydująca godzina przez drzwi sali zaczyna napływać tłum zaproszonych. Robi się gorąco, tłoczno, gwar wzrasta, jak fale morskie w chwili przypływu.

Na liście obecności coraz więcej nazwisk, teczka z deklaracjami (zgłoszone udziały) pęcznieje, kwitarjusz nabiera estetycznej linii, zyskując z każdym wydartym kwitem na smukłości.

Wszechstronne podejście do zagadnień ruchu i życia kobiecego spopularyzowało odrazu dążenia **Spółdzielni**, gromadząc wyjątkowo liczną grupę kobiet, reprezentujących wszystkie odłamy ugrupowań kobiet pracujących zawodowo i społecznie.

Wreszcie na sali rozbrzmiewa srebrzysty głos dzwonka i — cisza.

Rozpoczynamy od sprawozdania Komitetu Organizacyjnego, któremu Zebranie Plenarne jednogłośnie udziela absolutorjum, to znaczy aprobuje wszystkie jego poczynania.

Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza narodziła się do prawdy pod szczęśliwą gwiazdą.

Poza głosami doradcami — dowodem żywego zainteresowania przyszłym rozwojem **Spółdzielni**, nie słyszy się starć, ani sprzeciwów. Wyrobienie, spokój i takt Prezydium, składającego się z Pań: Paradowskiej Szelańskiej (Przewodnicząca), Elżbiety Kiewnarskiej i Eugenji

Waśniewskiej (Asesorki), panują nad wysoką temperaturą sali, przeprowadzając szybko i zwięźle najdonioślejsze decyzje i wnioski. Znanie Czytelniczkom pióro p. Haliny Iwaszkiewiczówny wdrożone do męczącej, odpowiedzialnej pracy sekretarzowania notuje z niebywałą sprawnością każde wypowiedziane słowo.

Zbliżamy się do punktu kulminacyjnego. Wybory do Rady Nadzorczej, której zadaniem jest „matkowanie” młodej instytucji, powołanie Zarządu, czuwanie nad jego działalnością, nad wcieleniem w czyn naszych zamierzeń i planów.

Po krótkiej przerwie (tajne, piśmienne głosowanie), obliczenie głosów i ogłoszenie wyniku wyborów. Do Rady Nadzorczej wchodzi wybrane jednomyślnością głosów Panie: Gürtlerowa Władysława, Kiewnarska Elżbieta, Kożuchowska Stefania, Krawczyńska Jadwiga, Makowska Zofja, Minchejmerowa Maria, Paradowska Szelańska Anna, Petersowa Zofja, Stodolska Alma, Waśniewska Eugenia, Zaleska Zofja, Zasztowt Halina — jako Zastępczynie Panie: Bukowska Herminja, Putiatycz Surnowa Janina, Zandowa Natalia.

Zebranie kończy się pod znakiem zapału, uchwalając w pierwszym rzędzie doprowadzenie Tygodnika Kobiety do pełnej, zdrowej samowystarczalności, w imię której zobowiązujemy się wszystkie do pozyskiwania prenumeratorów i członkiń **Spółdzielni**, a po zbudowaniu trwałych fundamentów dla pierwszego w Polsce pisma wszystkich kobiet, broniącego ich spraw, uprawniającego ich do głosu, postanawiamy przejść do realizowania szeroko zarysowanych w statucie zamierzeń **Spółdzielni**.

Sala pustoszeje.

Zaczynamy już teraz pracować spokojnie, dzieląc się odpowiedzialnością decyzji i poczynañ z Radą Nadzorczą, która poprze nas swoim autorytetem i doświadczeniem. Głosimy po całej Polsce wezwanie do wszystkich kobiet, których umysły i serca promieniają poza ciasny krąg osobistych zainteresowań, wierząc że pójdą z nami ręką w rękę, że powiększą nasze szeregi.

Na zapoczątkowanie wspólnoty przyrzekamy: solidarność, lojalność, spełnienie wszystkich wziętych na siebie zobowiązań. Jeżeli tej przysięgi dotrzynamy przyszłość należy do nas.

Wanda Dobrzańska.



# Pojedynczo czy gromada

— Cel w życiu? Nie rozumiem, o co ci chodzi?

— No, prosto, po co żyjesz? Dlaczego?

— Jakto poco? Przecież mam obowiązki: dom, męża, dzieci.

— Tylko bez oklepanych frazesów. Może jeszcze do katechizmu sięgniesz. Nie obrażaj się, nie chcę ani dokużyć, ani obrazić. Chcę wiedzieć, poco ludzie żyją, każdy, poszczególnie, — dlatego pytam.

Zagadnięta namyśla się chwilę:

— Poto, żeby wychować dobrze dzieci, dać im jasne wspomnienie domu...

— Ślicznie. Ale... co dalej?

— Jakto?

— Wychowasz dzieci, one pożenią się, czy tam wyjdą zamaż i znów będą żyć poto, by wychować swoje dzieci. Tak? A ty? Skończyłaś pracę całego życia i co?... To już wszystko?

— Dzieciom będę zawsze potrzebna.

— Zapewne... I to ci wypełni życie?

— Już wiem, do czego prowadzisz... Ale ja nie mam żadnego pociągu do pracy społecznej, nie umiem tego robić. Jeszcze jakaś pomoc ubogim w miarę możliwości, — nigdy się od tego nie uchylam, składki płacę.

— Wiem. Prowadzisz wzorowo swój budżet. Dbasz o kulturę domu. Chodzisz do teatru, czytasz książki. Tak.

Ale to wszystko jeszcze nie stanowi odpowiedzi na moje pytanie: co jest celem twego życia? Co po tobie zostanie? Tylko dzieci?...

— To mało? Niech każda rodzina tylko dobrze dzieci wychowa, to już społeczeństwo będzie inne.

— Aha! Inne... A jakiebyś ty chciała społeczeństwo widzieć?

— Pytasz, jak dzieciaka...

— Nie gniewaj się. Ja, doprawdy, bez ironii pytam. Czytałaś pewno Wells'a „Ludzie, jako bogowie”... Takiem chciałabyś widzieć społeczeństwo? Czy inny masz ideał?

— Tej książki nie czytałam, ale ideał... To można łatwo nakreślić... Żeby nie było kłamstwa, oszustw, kradzieży, egoizmu, nędzy, brudu i głodu, głupoty i degeneracji fizycznej i umysłowej...

— I to wszystko ma stać się bez ciebie?

— Jakto bezemnie?

— A tak. Przecież ty żyjesz tylko dla swoich dzieci i swego domu. A że inni przez ten czas źle wychowują swoje dzieci, że zrodzi się cała falanga próżniaków, idjotów, pokrak, które będą utrudniać życie tym twoim

wzorowo wychowanym dzieciom, to już ciebie nie obchodzi.

— Trudno, żeby każdy zbawiał świat! Nie jestem geniuszem. „Czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży”.

...Czyń każdy w swoim kółku... Wyszedłam z jasnego, przytulnego domu na ulicę oświetloną barwnie reklamami sklepów. Toczył się nią tłum przechodniów, rozrywał na przecznicach, rozpraszał kędyś w sobie wiadomych bramach. Każdy w swoim kółku troszczył się o swoje sprawy.

Plac 3 Krzyży — Aleje Ujazdowskie — Górnośląska z pięknym osiedlem profesorskim, Z Domem Akademickim, z Seminarjum nauczycielek rzemiosł i naprzeciw ciemniącym gmachem II miejskiego gimnazjum. Na lewo ul. Rozbrat z grupą nowoczesnych domów spółdzielni mieszkaniowej, na prawo, na Myśliwieckiej piękne gimnazjum Batorego, internat „Opatrzności” naprzeciw Agrykoli. Dalej tereny sportowe, budujący się Dom Harcerstwa, stadion. I... ul. Szara; ul. Fabryczna, ul. Przemysłowa — ciemne, brudne, tonące w błocie, w zaduchu przepełnionych domów. Górnośląska już od rogu Rozbrat — takasama błotnista i ciemna, taksamo pełna parkanów, przybudówek. Turkocze jakaś fabryka, dudnią wozy, przesuwają się pod ścianami domów cienie przechodniów.

— Spytaj ich, poco żyją? Co po nich zostanie? Jaki świat oddadzą swoim dzieciom? Ech! — zżymałam się sama na siebie. Ponury, beznadziejny smutek tych lepkich, chwytających za nogi, ulic oblepił mi myśl.

Skręciłam w Czerniakowską... ul. Zagórna... Stałam w miejscu. Szkoła 29 powszechna — jedno z pierwszych warsztatów szkolnych — współpraca rodziców — świetlice — ogródek szkolny.

Roześmiałam się cicho. Czego ja się złoszczę? Są przecież ludzie, co sobie postawili cel w życiu, wyraźny, osiągalny, niezależnie od swego życia rodzinnego, od dbałości o swój dom i swoje doskonalenie. Przesada? Nie. To są ludzie napewno z wadami i napewno nie wzorowi, nie żadne „ideały”. Bardzo być może, że posprzechałabym się z nimi o niejedno, że niejeden by mi się nie podobał. Ale co z tego? Czy ja mam się też każdemu podobać?

Zawracam. Idę prosto na Górnośląską 9. Co tam jest? Piekarnia mechaniczna. Ale w 2 pokojach od ulicy mieści się „świetlica dla rodziców” dzieci okolicznych szkół powszechnych.

Jest w niej w tej chwili — godz. 7 wieczór — około 30 — 40 kobiet i paru mężczyzn. W większym pokoju przed stołem, założonym produktami najprostszymi stoi instruktorka ze Związku pań domu. Uczy, jak przyrządzać te najprostsze, ale urozmaicone potrawy. W drugim pokoju kilka dziewczynek macha pracowicie drutami.

— Instruktorkę robót włóczkowych dała nam darmo firma, w której zakupiliśmy włóczkę — objaśnia kierowniczką świetlicy.

Porady prawne we wtorki godz. 7 — 8.

Na ścianie widzę „obwieszczenia”:

Porady lekarskie w piątki godz. 7 — 8.

Pogadanka higieniczna odbędzie się...

Świetlica jest założona przez sekcję Powiśla Koła Przyjaciół Śródmieścia. Sekcja płaci za lokal 50 zł. miesięcznie, a członkowie jej zjednoczyli się w dążeniu do podniesienia tej zaniedbanej dzielnicy. Związek pań domu objął naukę gospodarstwa domowego dla matek. Z wydziału oświaty i kultury magistratu zdobyto subsydjum na kurs kroju i szycia. 8 ośrodek zdrowia daje prelekcje o higienie. Jeden z młodych lekarzy udziela porad, lekarskich. Jeden z adwokatów — porad prawnych bardzo tu potrzebnych (głównie sprawy o alimenty od mężów, którzy porzucili rodziny, sprawy o eksmisję). Gospodarz domu własnym kosztem wyremontował lokal. Sekcja Powiśla dała sprzęty, radio, gry towarzyskie. Odbyła się już wystawa antyalkoholowa, wystawa: jak urządzić mieszkanie jednoizbowe. Szkoła 29 obiecała wyhodować w swoim ogródku 5.000 sadzonek kwiatowych, by rozdać je „świetliczanom” i urządzić konkurs „zdobienia domów roślinami”.

— Człowiek pojedynczy — wiadomo — nic nie robi. Trzeba iść gromadą. I nie składać wszystkiego na państwo czy zarząd miasta — mówi jeden z ojców.

Powisłe się rusza. Powisłe otworzyło 10 świetlic. Powisłe ma II gimnazjum miejskie, które pierwsze — i jak dotąd jedyne — otworzyło swoje nowoczesne wnętrza dla dzieci szkół powszechnych, nie bojąc się zabłoceń posadzek, czy przyniesienia robactwa (daje dzieciom kąpiel, dożywianie, pomoc w nauce, zabawę). Powisłe domaga się ogródków jordanowskich (są tereny).

Idzie gromadą!

Bo w pojedynkę nic się nie robi. A życie trzeba przekształcić! Tak, jak dotąd, żyć nie można.

Z. Zaleska.



# KRÓL — OBYWATEL

Żeby zrozumieć głębię żalu, z jakim obywatele Wielkiej Brytanji przyjęli żałobną wieść o śmierci króla Jerzego V, trzeba zdać sobie sprawę z owego szczególnego sentymentu, jakim Anglicy darzą swoich monarchów.

Bez względu na przekonania polityczne i na przekonania tych odcienie, każdy Anglik jest imperjalistą i widzi w koronowanej głowie swego państwa nie tylko Ojca Narodu, nie tylko symbol narodu jego potęgi, ale i łącznik między krajem macierzystym, a samodzielnymi dominjami i kolonjami.

Najlepszym wyrazem tej powszechnej miłości i szacunku były żywiołowe manifestacje całego Imperjum Brytyjskiego podczas zeszłorocznych uroczystości jubileuszowych na cześć królewskiej pary.

Jeżeli do tego wrodzonego Anglikom przywiązania do tronu dodamy szczerą sympatię, jaką Król-Marynarz (King Sailor) cieszył się u swoich poddanych — zrozumimy, jak ciężkie chwile przeżywało społeczeństwo angielskie dnia 20 stycznia, naprzemian łudząc się nadzieją i oczekując najgorszych wieści.

Król Jerzy V zmarł po długiej chorobie w 70 roku życia, a w 26 trudnego, a jednak szczęśliwego panowania. Szczęśliwego — bo pomimo wstrząsów, jakie odczuwa cały świat, Imperjum Brytyjskie pozostało niewzruszone. A przecież właśnie na panowanie Króla Jerzego przypadały te

1865



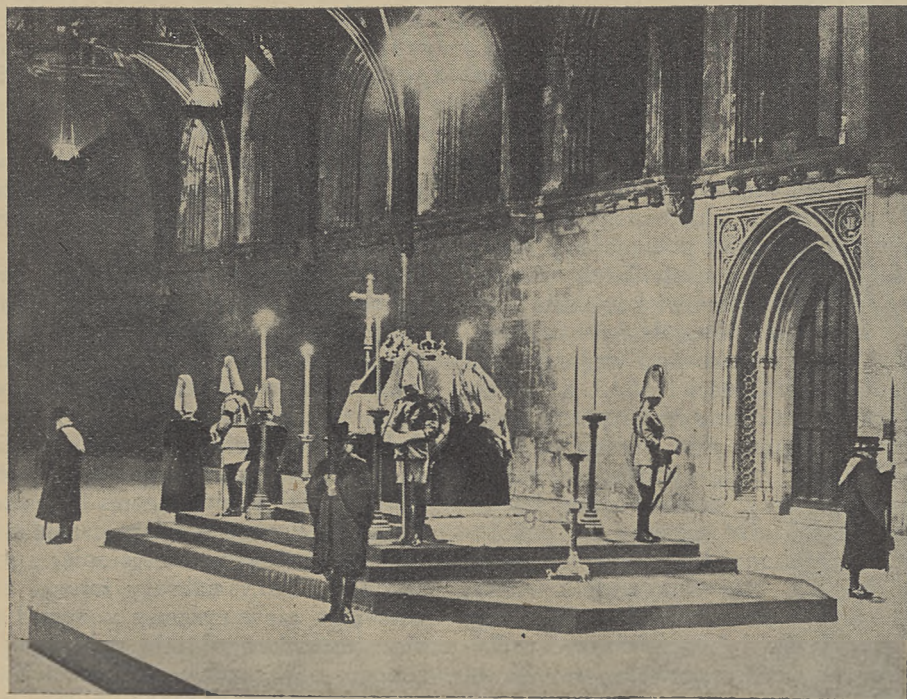
1936

tak bardzo trudne dla Anglii chwile i fakty historycznej doniosłości.

Pamiętajmy, że pierwsze lata panowania Króla Jerzego to walki we-

wnętrzne o rozszerzenie prawa wyborczego (pierwsze wystąpienia Labour Party i kampanja sufrażystek) i początek wielkiej wojny światowej, do której Anglja została wciągnięta bez należytego przygotowania. Ofiary krwi i mienia nie okupiły spokoju ani dobrobytu kraju. Bezrobocie, strajk generalny w roku 1926, jeżeli niezupełne, to jednak rzeczywiste oderwanie się Irlandji, wiecznie rozjątrzana i jątrząca się rana Indyj, separatystyczne dążenia Egiptu, wszechświatowy kryzys ekonomiczny, wreszcie zatarg włosko abisyński — nie licząc już zachwiania się funta i wielu innych katastrof — oto niedoskonały bilans wypadków panowania króla Jerzego. Jeżeli pomimo tylu klęsk, o które zwykle tak łatwo pomawia się właśnie czynnik rządzący, król angielski odszedł szczerze przez cały lud żałowany — jest to chyba najlepszym dowodem, że swoją rolę Monarchy od początku do końca odegrał w sposób, który, jak się wyrazili socjaliści angielscy w swoim hołdzie — „stanowił próbę szlachetnego charakteru oraz wysokiego zrozumienia osobistego obowiązku”.

To zrozumienie „osobistego obowiązku” sprawiało, że król Jerzy nigdy nie oddzielał się od swoich pod-



Trumna ze zwłokami króla wystawiona na widok publiczny.



danych murem wyniosłości monarszej, ale szczerze interesował się sprawami publicznymi, przystępując do ich rozwiązywania z taktem, rozumem i sercem.

Jeżeli nie pozostawił wielkiego Imperjum takim, jakim je pragnął widzieć, jeżeli nie umierał z przeświadczeniem, że syn będzie miał łatwiejsze zadanie — to wina naszej, aż zanadto skomplikowanej rzeczywistości, a nie Jego. On uczynił wszystko, co mógł dla swego narodu. W znalezieniu właściwej metody rozwiązywania trudnych problemów, dopomagał mu właściwy anglikom dar łączenia kultu tradycji ze zrozumieniem konieczności postępu. Znał wagę rzeczy dawnych, z pnia których wyrosła potężna, zdobywca Anglja, ale nie obca mu była wartość wczas dokonywanych przeobrażeń społecznych i politycznych.

Odszedł, żegnany szczerym żalem poddanych, darzony sympatją obcych jako wzór króla-obywatela, związanego ze swoim narodem i jego historją mocnymi węzłami pokrewieństwa krwi i ducha.

*Zofja Popławska.*



*Synowie królewscy z dzisiejszym królem Edwardem VIII (strój szkocki).*

## Na marginesie przeżytej amnestji

W gorączkowym pośpiechu życia współczesnego, w nawale trosk codziennych i obowiązków, w rozgwarze zabawy, oku, zapatrzonemu w cel wytyczony, uchodzi niejeden poboczny wyraz życia i zatracą się niejeden ciekawy jego przejaw.

A przecież z tych pozornych błahostek składają się często najważniejsze nasze problemy, splatają się z nich zawiłe a ważne najistotniejsze zagadnienia. Niezauważone, zlekceważone lub niedocenione w czasie właściwym kwestje te rozrastają się, mocnieją, zaczynają się wdzierać w krąg naszych zainteresowań i oto dnia pewnego stoimy w obliczu już nie zwykłych zdarzeń, czy nawet nadzwyczajnych wypadków, lecz wobec Sprawy.

Jedną z szeregu innych jest współudział społeczeństwa w pracy więziennej.

Naogół utarło się nader wygodne mniemanie, że człowiek, odbywający karę za kratami więziennymi, przestaje być jednostką godną zrozumienia i litości, gdyż jest wyrodkiem ludzkości, zasługującym jedynie na pogardę, wstręt i odepchnięcie. „Ma, na co zasłużył, bandyta!” brzmi nieraz zbyt pośpieszne orzeczenie tych, którzy ukołysani bez troską wygodą nie kwapią się o zajrzeniem w głębię nędzy ludzkiej. Na sąd taki składają się wiele przesłanek: wyżej wspomniana wygoda, pewność

swego osobistego bezpieczeństwa, nieprzemyślenie, podświadome wywyższanie własnego „ja”, a niekiedy nawet i pewien odcień sadyzmu. Ponieważ pierwsze są naogół zrozumiałe, zatrzymać się należy na dwóch ostatnich.

Dążenie do szczytów (często wyimaginowanych lub wręcz błędnych) rozwinięte jest w naturze człowieka bardzo silnie; dostrzeżony w niej przez nas samych lub przez innych przejaw dodatni sprawia zadowolenie i jest nieraz bodźcem do dalszej pracy nad udoskonaleniem siebie. To też na ponurem tle człowieka napiętnowanego pobytem w więzieniu obraz własny wydaje się nam jakby jaśniejszy, niewinniejszy, bardziej pociągający (oczywiście, mowa tu o osobnikach niższego pokroju, gdyż stanowisko takie niemożliwe jest do pomyślenia u człowieka stojącego wysoko pod względem inteligencji, moralności i etyki, a stwierdzić trzeba, że i tamtym poczucie wstydu oraz rozum nie przepuści tych odczuć poza próg podświadomości). Przypomniawszy sobie logikę karconych dzieci, dojść musimy do przekonania, że zachodzi tu podobieństwo do owego malca, który na widok łajanej i płaczącej siostry, zamiast biec ku niej z pociechą lub przepraszać rodziców, pośpieszył z gorącym zapewnieniem: „Ale ja jestem zato bardzo grzeczny!” A wszak prawo bijogene-

tyczne Haeckla mówi: „Ontogeneza jest skróconym powtórzeniem filogenezy” t. zn. rozwój osobnika jest skróconym powtórzeniem rozwoju gatunku.

Rozpatrując stosunek nasz do człowieka karanego, a więc tego, który popełnił przestępstwo, niejednokrotnie spostrzec można w pojedynczych jednostkach t. zw. „wolnych” rodzaj zadowolenia czy ukontentowania, wpływającego nie tylko z poczucia własnej wyższości bądź rzeczywistej bądź urojonej, lecz jakby z mściwości czy chęci zniszczenia i zmiżdżenia.

Jakże niesłusznymi, jak krzywdzącymi, nielitościwymi i nierozumnymi drogami idą myśli tych „sprawiedliwych”!

Przestępczość zrodziła się wraz z ludzkością; wiemy, że już pierwsze prawa, jak np. prawo rodu, nakazywały posłuch głowie rodziny, a więc zabraniały nieposłuszeństwa. Tkwi w tem zrozumiana już wówczas dążność jednostki do wykroczenia poza granice dozwolonego i samoobrona ogółu przed ewentualnymi tego następstwami. Lecz z biegiem czasu zmieniły się kategorie myślenia, pojęcia zbrodni i kary nabrały innego zabarwienia, a niewzruszony pozostał jedynie stosunek ogółu do człowieka skazanego. Wszystkie społeczeństwa w ostatnim dziesiątku lat (niektóre znacznie wcześniej) zainteresowały się tą



sprawą gorąco. I u nas również przekonania do świadomości ogółu przekonanie, że więzienie nie powinno być zemstą społeczeństwa nad jednostką, która wyrządziła mu krzywdę, lecz jest odseparowaniem szkodliwego osobnika na okres czasu, potrzebny, aby zdołał poznać i okupić swój błąd oraz nauczył się po wyjściu na wolność współżycia z innymi.

Nie można znaleźć drogi do duszy ludzkiej przez niechęć i uprzedzenie! Nie można wychowywać bez zdobycia zaufania! Nie można rozbroić i oswoić z batem pogardy w rękę! Nie można wywołać skruchy, żalu, tęsknoty, wstydu i wdzięczności spojrzeniem dumnym i podejściem nieczułym!

Właśnie to podejście do człowieka za kratami może być różnorodne zależnie od jego poziomu umysłowego i uczuciowego; cechować je musi jednak zawsze prostota i bezpośredniość. Pozwoli to skazańcowi odczuć gotowość do niesienia mu pomocy, skąd jeden tylko krok dzieli go od nabrania zaufania, a ono otwiera przed niosącym pomoc całe gehenny żalu, wstydu, niepewności i rozpacz.

Na katastrofę w życiu człowieka, na nieszczęście dostania się za kratę, składa się często tak wiele okoliczności, że trudno je tu wszystkie wyliczyć. Jednak przytoczyć należy chociażby tak ważne, jak: atawizm t. j. dziedziczne obciążenie, choroby i wpływające z nich zaburzenia nerwowe i psychicz-

ne, niski poziom umysłowy i moralny, nieopanowanie, nędza, złe towarzystwo, brak dozoru nad małoletnimi, niewyrobienie życiowe, a więc mała odporność na złe wpływy i przykład i t.d. Czynnikiem zasadniczym, winnym w zmaganiu się przestępczości, jest w dobie obecnej przede wszystkim kryzys ekonomiczny, który kraj nasz przechodzi, narówni z innymi w Europie i Ameryce. W zubożałych warstwach ludności, rozgoryczonych bezrobociem, pojęcie zła i dobra staje się nader rozciągle, a instynkt samozachowawczy rodzi bunt przeciwko nędzy. Pracownik fizyczny zarówno jak umysłowy jednakowo dręczony biedą i niepewnością jutra zmuszony bywa nieraz do przestępstwa dla zaspokojenia głodu. Nieszczęśliwiec zdaje sobie najczęściej sprawę ze swego postępuku i wpływających zeń następstw. Kradzież w tych okolicznościach to akt rozpacz, więzienie — ostatnia przystań; praca za kratami — jedyna ośłoda.

I tacy najbardziej godni są współczucia! Gdy sprawiedliwości stało się zadość, gdy kara została wymierzona i przestępca odgradzony już jest od świata, otwiera się dla społeczeństwa pole do działania.

W psychice więźnia leży zrozumiała niewiara i rozgoryczenie w stosunku do wszystkich, w których władzy się znalazł, a więc: do sądu, prokuratora i organów więziennych. Lecz ku-

rator społeczny cieszy się jego bezgranicznym zaufaniem, jemu powierza on swe niepokoje i troski, od niego wyczekuje otuchy i zrozumienia: wszak to przedstawiciel wolności, który nie ukarze, nie potraktuje z urzędowym chłodem, nie będzie przestrzegał koniecznej dyscypliny — jemu się poskarżyć można! I oto dzieją się niekiedy rzeczy dziwne: Patronat (Towarzystwo Opieki nad więźniami), z którego ramienia kurator działa, wznowiać musi nieraz własnym sumptem sprawy; musi się zajmować rodzinami ludzi, którzy do więzienia poszli, poto, aby ich dzieci wychowane być mogły przez osoby dobrej woli; musi starać się o pracę dla tych, którzy dostali się za kraty z powodu jej braku, a godni są opieki i ochrony przed ponownym stoczeniem się w otchłań rozpacz.

Pochwalić należy każde życzliwe zainteresowanie się pracą instytucji lub osób, niosących ze zrozumieniem i gotowością pomoc tym najniebezpieczniejszym, a przede wszystkim nie wolno piętnować piętnem hańby każdego, kogo los wtrącił do więzienia. Patrzymy na więźnia, jak na zbłąkanego lub chorego brata, a ustosunkujemy się do niego właściwie.

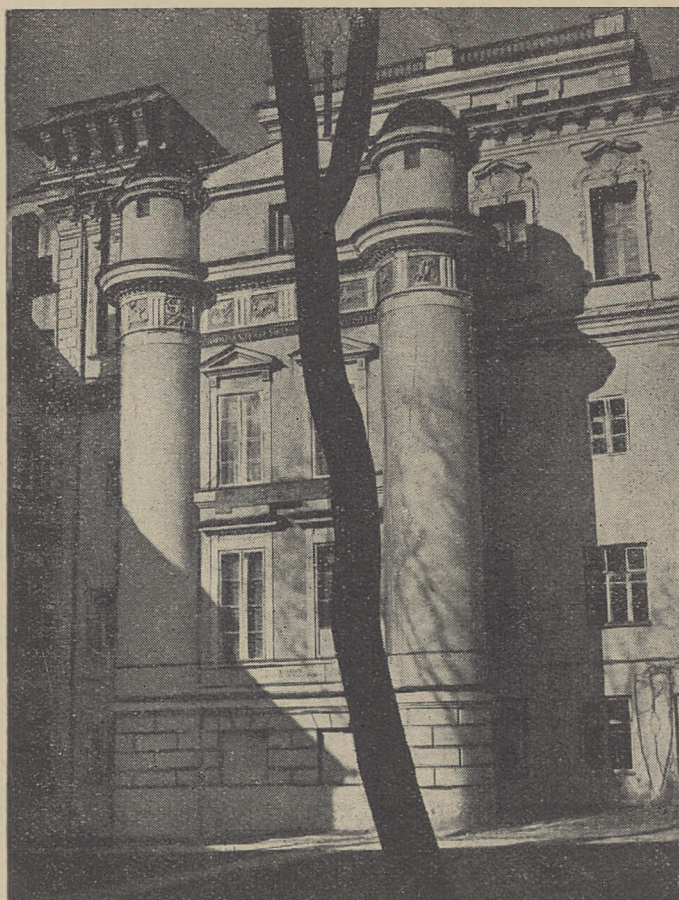
Garść tych uwag nasuwa się w związku z amnestją, która wypuściła z murów więziennych między innymi mnóstwo ludzi, godnych naszego zrozumienia i współczucia.

*Zofja Petersowa.*

## Miasto romantyzmu

Romantyzm Wilna przejawia się w każdym niemal kamieniu, z których wzniesiono to miasto, tak bardzo nastrajające do marzeń, czy to nad malowniczym brzegiem Wilji, czy na Górze Zamkowej, z której roztacza się najpiękniejszy widok na całe Wilno zjeżone wieżami dwudziestu ośmiu kościołów i kopułami dziesięciu cerkwi. Czaruje nas egzotyka miasta, uderzają pierwiastki wschodnie, wtopione w kulturę zachodu. Wspomniane cerkwie, z których najpiękniejszemi są: na Zwierzyńcu i Pohulance, nadają miastu, łącznie z bramą klasztoru Bazylianów, wyraz orientalizmu. Odczuwamy to jeszcze bardziej, gdy w wędrowce po Wilnie napotkamy drewniany meczet i karaimską kinsę (świątynię), nie mówiąc o charakterystycznych synagogach, z którymi rywalizuje nastrój dzielnicy ghetta.

Kto widział raz tę osobliwość Wilna, z którą nie spotka się nigdzie w Polsce, ten długo zostaje pod jej specyficznym urokiem. Dzielnica ta, zamknięta w ramach ulic: Wielkiej, Niemieckiej i Dominikańskiej, oszałamia każdego niespodziewaną krzywą swych uliczek, zwanych zaułkami, tworzącą istny labirynt. Są one wąskie, połączone mnogością bram i przejść przez dziwaczne podwórka. Malarstwo ich rysunku i barwy, na które składają się ciemne wnętrza załomów z jaśniejszymi blaskami arkad przewieszonych nad niemi, podkreśla omszałość starych domów... kryjących tajemnice przeszłości. Najbardziej malowniczy jest zaułek Bernardyński, pełen niespodzianych załomów, w jednym



*Dziedziniec Poczobuta na terenie Uniwersytetu Stefana Batoiego.*





*Wnętrze kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu.*

z domów którego mieszkał w 1822 r. (po powrocie z Kowna) Adam Mickiewicz, przygotowując do druku „Grażynę”.

Chociaż w tym świecie cienia stopień nastroju zależny jest też od pory roku, chwili dnia, a więc zachodu i wschodu, to jednak największa jest rola słońca. Właściwą barwę tego — drugiego jakby Wilna, — gdzie gra biel domów i kościołów, przeglądających się w niebieskości przestworza, — odczujemy dopiero wypełni, gdy zaświeci słońce. Jest tu inny świat, — bo tamten należał do nędzarzy. Kościoły i pałace tego Wilna, w przepychu dekoracyjności, są potężne, świadczą o temperamencie i wielkiej skali umysłu ludzi, którzy je stworzyli.

Architektura Wilna jest tak bogata, że nie sposób kolejno wszystkich jej arcydzieł wymienić. Na każdym kroku spotyka się coś godnego podziwu. Z kościołów, kościół św. Anny szczególnie, utkwi każdemu w pamięci. Kto raz podziwiał ten arcytwór gotyku, nie prędko zapomni o nim. Powstał on w drugiej połowie 16 w. W majestatycznej fasadzie zwraca przede wszystkim uwagę harmonijne związanie drobnych fragmentów i połączenie dekoracji z całością świątyni. Masywniejsze części fasady wspierane o silne cokoły, przechodzą w górnych partjach w koronkową robotę.

Drugim okazem wileńskiego gotyku jest kościół Bernardynów z początku 16 w. (gotyk bowiem pojawił się tu w 150 lat później, niż gdzieindziej w Polsce). Jest on z poprzednim jakby związany swą fasadą. Przylegająca do niego wieżowa dzwonnica bogato dekorowana, mimo swej przynależności do gotyku, sprawia wrażenie renesansowej włoskiej campanilli. Oprócz tej — wielce malowniczej dzwonnicy, będącej zjawiskiem niespotykanym na naszym terenie, posiada kościół jeszcze inną atrakcję w postaci

pięknych sklepień kryształkowych w kruchcie oraz zakrystji.

Inną formą przemawia do nas kopulasty kościół św. Kazimierza (z pocz. 17 w.) o barokowej fasadzie, z rokokową kruchtą.

Wzorowany na kościele św. Kazimierza jest kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu, najpiękniejszy okaz baroku w Polsce (z poł. 17 w.), którego sklepienie i wnętrze kopuły pokryte jest przeszło dwoma tysiącami rzeźb figuralnych i niezwykle bogatą ornamentyką stiuków z przewagą motywu liści palmowych.

Porywający strzelistością białych wież kościół Misjonarzy (z końca 17 w.) jest wprost doskonały w swej formie. Piękna, lekka, pełna maestrii rokokowej fasada, z dobudowaną kruchtą, mówi o wielkim jej twórcy.

I wreszcie bazylika — rozłożysty gmach, owoc klasycyzmu Gucewicza (z końca 18 w.), przytłoczony na tympanonie trzema wielkimi figurami świętych. Nosi w sobie jeszcze ślady innych stylów (gotyku, renesansu, baroku), które zacierał wspomniany Gucewicz, dając swoją własną nowatorską koncepcję i tworząc w nowej bryle prawie że typ świątyni rzymskiej. Imponujący jest zwłaszcza portyk o 6-ciu wspianych tokańskich kolumnach olbrzymich rozmiarów.

Poza omawianymi dziełami, posiada Wilno zażytkowe dworki, kamienice i pałace, z których dużo legło już w ruinie, dużo zaś przybrało odmienne oblicze. Oprócz specjalnie ciekawych dworków przy ul. Mostowej, zwracają uwagę kamienice z attykami, których fasady zdobią przeróżne dekoracyjne pomysły renesansowe, barokowe, lub rokokowe — jak np. przy ul. Zamkowej.

Z pałacików — jeden na rogu Trockiej i Zamkowej (klasycystyczny) należał do Tyszkiewiczów. Z balkonem, podpieranym przez karjatydy, jest dzisiaj tylko przytułkiem szkoły żydowskiej.

Do zabytkowych budowli świeckich należy przede wszystkim Uniwersytet Stefana Batorego. Całość przedstawia się, jakby jakieś muzeum gmachów, pochodzi bowiem z różnych czasów, od w. XV. począwszy, aż po wiek XIX. Pierwotnie była to Akademia Jezuicka. Kompleks ten posiada aż dziewięć dziedzińców, a ich krużganki arkadowe mają klasztorną powagę. Do dziedzińca Poczobuta przylega obserwatorium astronomiczne, a w dziedzińcu poety Sarbiewskiego znajdują się prócz arkad, malownicze skarpy średniowieczne, w dziedzińcu innym — Smuglewicza — króluje attyka szesnastowieczna (renesansowa).

Z renesansowej architektury zachowała się, oprócz wspomnianych attyk, najpóźniejsza z nich — z Ostrej Bramy. Przylega do niej barokowy kościół św. Teresy, w którym spoczywa serce Marszałka Piłsudskiego.

Godny zainteresowania jest pałac Słuszków z 1690 r. (obecnie więzienie wojskowe), malowniczo położony nad brzegiem Wilji. Z czterema kwadratowymi, jakby basztami na narożnikach, pociąga swym bogactwem dekoracji zewnętrznej. Lepiej zachował się położony w pobliżu — na Antokolu, w otoczeniu wspianego parku, dawny pałac Sapieżyński, pochodzący z tychże czasów.

Z budowli zabytkowych należy jeszcze wymienić dawny ratusz, wykonany w l. 1781—83 w duchu klasycznym — przez Gucewicza.

Wilno posiada wiele architektonicznych obiektów, skończenie pięknych, świadectw wszystkich wielkich epok stylowych, przeżywanych przez miasto, w które wcieliło się marzenie twórców o pięknie.

*M. S.*



# O k n o n a ś w i a t

## DOKOŁA SPRAWY BRUNONA HAUPTMANA

Cała Ameryka pasjonuje się w dalszym ciągu sprawą Hauptmana.

— Będzie stracony czy nie będzie? — oto zagadka, którą stara się rozwiązać niemal każdy obywatel amerykański.

Więźnia przewieziono do „celi śmierci”. Większość niezbita wierzyła w winę Hauptmana. Popychana niezdrową ciekawością i żądzą sensacji nie może się doczekać wykonania wyroku. I oto 17-go stycznia, w dniu, wyznaczonym pierwotnie jako termin stracenia Brunona Hauptmana, zaszedł rewelacyjny zwrot. Na łamach nowojorskiej prasy ukazało się twierdzenie, że sprawcą porwania synka Lindbergha ma być nie człowiek, przeżywający przedśmiertną agonję w „celi śmierci”, lecz jakiś tajemniczy słowianin, emigrant rosyjski. Jednocześnie sądowy grafolog, Samuel Small oświadczył, że listy z żądaniem okupu nie były pisane przez Hauptmana. I wreszcie według najnowszych badań detektywów nieżywe dziecko, znalezione w lesie, ma jakoby nie być porwanem dzieckiem Lindbergha. Z zupełną pewnością ustalono, że znalezione zwłoki były o 10 cent. dłuższe niż synek sławnego lotnika.

Czy sensacyjne rewelacje nowojorskiej prasy okażą się zwykłą „kaczką dziennikarską” czy też rzeczywiście stanowić będą poważny materiał dowodowy, który w razie rewizji procesu spowoduje uniewinnienie Hauptmana, trudno w tej chwili stanowczo określić.

W każdym razie egzekucja Brunona Hauptmana odroczone została na 30 dni, co w rzeczywistości równa się trzem miesiącom, gdyż sędzia będzie musiał ustalić nowy termin egzekucji.

Trzy miesiące to długi okres. I w międzyczasie może jeszcze zajść bardzo wiele zmian...

A tymczasem więzień znajduje się w „celi śmierci”, zaledwie o kilka kroków od fotela elektrycznego i czeka. Wraz z nim emocjonuje się i denerwuje olbrzymia połać ziemi najbardziej nieprawdopodobnych możliwości, jaką jest Ameryka.

## OPIEKUNOWIE SPOŁECZNI

Instytucja opiekunów społecznych istnieje w Warszawie dopiero od roku i nasze społeczeństwo mało wie o jej zadaniach i celach.

Stanowisko opiekuna społecznego jest honorowe, a celem — niesienia

pomocy nędzarzowi i budzenie w społeczeństwie stosunku obywatelskiego do największej bolączki naszej doby — bezrobocia i związanej z niem nędzy.

Opiekunowie społeczni działają w imieniu Wydziału Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego. Warszawę podzielono na 9 okręgów. Skolei okręgi podzielono na 277 obwodów, które podlegają kompetencji opiekunów obwodowych. Tym wreszcie dodano do pomocy opiekunów domowych, których ilość powinna się równać ilości domów w Warszawie.

Opiekun społeczny pracuje „w terenie, oko w oko” z prawdziwą nędzą. Motorem jego działania jest własna inicjatywa. I dzięki tej inicjatywie, w niektórych obwodach zmniejszyła się ilość nędzarzy.

Niestety! Brak opiekunów domowych uniemożliwia rozszerzenie silnego frontu samoobrony przed nędzą i upadkiem moralnym. A brak ten wypływa z małego zainteresowania akcją społeczną.

Opiekunami społecznymi mogą być zarówno mężczyźni jak i kobiety. Ale opiekunek jest mniej niż opiekunów.

Czyżby kobiety mniej interesowały się akcją społeczną, mającą na celu wydzwignięcie człowieka, którego na dno zepchnęła jedynie niemożność znalezienia pracy, choroba lub nieszczęśliwy przypadek?

Niechaj w każdym domu zaszczytne stanowisko opiekuna społecznego zajmie kobieta! Niechaj każdy nieszczęśliwy będzie przedświadczony, że społeczeństwo o nim nie zapomniało!

## „POLITYKI POLSKIEJ KUPIĆ NIE MOŻNA”

W Komisji spraw zagranicznych Sejmu wygłosił dn. 15-go stycznia swoje exposé minister spraw Zagranicznych, Józef Beck. Minister nie wygłosił swojego przemówienia jedynie przed licznie zebranymi posłami i senatorami. Jednocześnie przemawiał do wszystkich obywateli, bo mowa ministra, trwająca około pół godziny, była transmitowana przez radio. I głośnym echem odbiła się w całej prasie zagranicznej.

Słuchano tej mowy w wielkim skupieniu i z niesłabnącą uwagą. Nic dziwnego. Dotyczyła ona najżywczejszych naszych interesów i określała stanowisko Polski wobec całego świata.

Oto krótkie streszczenie przemówienia p. ministra.

— W przewidywaniu rozstroju sto-

sunków międzynarodowych, które dziś obserwujemy, polityka polska szła drogą poszukiwania elementów konstrukcyjnych, a realnych rozwiązań dla nas i dla innych pożytecznych, a praktycznych...

— Punktem wyjścia dla polityki polskiej jak też celem ostatecznym musi być oczywiście interes Polski...

— Jeden z byłych członków rządu litewskiego brał czynny udział w organizowaniu i finansowaniu akcji terrorystycznej w Polsce. Gdyby się okazało, że nie jest to epizod z przeszłości, lecz istniejąca stale akcja rządu litewskiego, musielibyśmy uznać Litwę za element niebezpieczny dla pokoju...

— O atmosferze między Polską a Czechosłowacją decydować będzie traktowanie Polaków w Czechosłowacji. Żadne sztuczne procedury ani żadne dyplomatyzowanie nic tu nie pomoże...

Nazajutrz odbyła się w Komisji spraw zagranicznych Sejmu dyskusja nad exposé p. ministra. Minister spraw Zagranicznych zamknął ją silnemi, jak ze spizu wykutemi słowami: — Polityki polskiej kupić nie można!

## DYPLOMACI RADZĄ...

Wojna w Afryce trwa. Na placu boju padają żołnierze włoscy i abisyńscy. Bomby włoskie bombardują szpitale Czerwonego Krzyża. Miecze abisyńskie ścinają głowy jeńców. Mussolini i cesarz Etyopii ślą swoje wojska w objęcia nieuniknionej śmierci. Tysiące wdów i sierot okryła żałoba. I nikt nie jest w stanie przewidzieć końca krwawej masakry... o naftę...

A jednocześnie nad Europą zaczynają się gromadzić nowe chmury wojenne, powstałe z ścierań interesów Anglii i Italii oraz z niepokojącej sytuacji na Dalekim Wschodzie. Anglia reorganizuje swoje siły zbrojne, buduje nowe krążowniki, powiększa stan liczebny armii stałej, koncentruje swoje wojska w Egipcie.

Nie pozostają w tyle i inne państwa europejskie.

Cały świat zbroi się w przyspieszonym tempie, parlamenty jednogłośnie uchwalają coraz większe kwoty na zbrojenia.

A tymczasem w Genewie toczą się dyskusje nad powszechnym pokojem i spokojem, uchwalane są rezolucje, zawierane nowe sojusze i nowe traktaty.

Dyplomaci radzą. A żołnierze włoscy i abisyńscy umierają...

Argus.



# William Locke

# Ururpator

Przekład autoryzowany  
Ludwiki Ciechanowieckiej  
Powieść

Młoda bogini drżała z gniewu. Z ust jej płynął wartki potok słów, ręce gestykulowały z włoskim temperamentem, zgrabne ciało gięło się sugestywnie. Było jej do twarzy z wyrazem obrażonej dumy. Być może, że w innych okolicznościach, Vittoria nie liczyłaby się ze słowami i urządziłaby prostacką scenę, teraz jednak instyktownie trzymała na wodzy żywiołowy temperament. Wyglądała wspaniale. Bunny siedział zgnębiony, lecz pełen podziwu dla jej piękności. W głębi duszy cieszył się, że doprowadził ją do wybuchu. Czuł się jednak upokorzony, jak przystało na prawdziwego gentlemana, który obraził kobietę z niższych warstw.

— To wstrętnie z pańskiej strony! — zakończyła Vittoria patetyczny swój monolog.

Bunny podniósł się z krzesła i złożył Vittorii głęboki ukłon:

— Bardzo panią przepraszam i pokornie proszę o wybaczenie.

Udobruchała się natychmiast.

— To mnie trzeba przebaczyć, Bon Ami. Jestem strasznie popędliwa. Nic dziwnego. W moich żyłach płynie włoska krew. Gdyby pan zaczął kpić ze mnie, rzuciłabym w pana nożem.

— Zasłużyłbym sobie na to.

— Proszę cię, Bon Ami — powtórzyła, wyciągając doń obydwie ręce, z nieśmiałym wdziękiem. — Nie gniewaj się na mnie.

Ręce ich zwały się w uścisku.

— Ale teraz już pewnie nie przyrównasz mnie do Madonny, — wtrąciła z kobiecą przekorą.

— Nigdy bardziej nie byłaś podobną do słodkich postaci z obrazów del Sarto — odrzekł Bunny, z uniesieniem.

— Bo ja bardzo chciałabym, żeby Bon Ami miał o mnie dobrą opinię. Pan jest taki inny, niż ogół mężczyzn, a ja się czuję taka mała wobec pana.

Obrażona Junona przedzierżnęła się teraz w małą, pokorną dziewczynkę.

Nagle zażawione jej oczy spoczęły na tykającym szwajcarskim zegarze.

— Już późno, Bon Ami, — zauważyła z niepokojem.

Zaprzeczył temu gwałtownie. Nagle zaświtał mu genialny pomysł w głowie. Dlaczego zawsze dzieli ich podczas rozmowy ten wstrętny kontuar? Dlaczego niemożnaby uciec na pół godzinki i przejechać się omnibusem. Na dworze świeci jasny księżyc, powietrze czyste jest iak wino... Ale Vittoria się wahała.

Vittorja pobiegła do sąsiedniego pokoju i uprosiła wuję, aby ją zastąpił w barze. Stary Antonelli przeniósł się tedy wraz z przyjacielem i z nudełkiem domina do ciasnego przejścia za ładą. W kilka minut później Vittoria siedziała obok Bunny'ego

w autobusie. Bunny zachwycił się gwiaździstą nocą. Tam w górze panował przedziwny spokój, w dole zato kipiało życie. Dziewczyna słuchała go z przejęciem; giętki jej umysł wchłaniał każde słowo, niedopatrując się sprzeczności. Pod tym względem Vittoria była miłszym towarzyszem, niż Jasper, który nieraz chwycił Bunny'ego na gorącym uczynku i wytykał mu nielogiczności. Vittoria rzadko wtrącała się do rozmowy, rzucając przelotną uwagę, lub podkreślając dowcip. Podniecało to Bunny'ego i skierowywało jego myśl, na coraz to inne tory.

Przejażdżka sprawiała Vittorii wielką przyjemność, którą jedynie zakłócało uczucie głodu. Tak się zagadała w barze, że zapomniała o jedzeniu. Zastanawiała się teraz, czy Bunny zdaje sobie sprawę, że wyszła z baru bez kolacji. Spewnością tego nie zauważył. Nie miała mu tego za złe, podobało się jej takie lekceważenie powszednich spraw. Raczej umarłaby z głodu, aniżeli by miała mu się przyznać, że myśli o jedzeniu. Świadomość, że przechodzi dla niego męki, sprawiała jej rozkosz.

Wycieczka przeciągnęła się w nieskończoność. Kilkakrotnie zmieniano autobus, poto, by przebyć obraną trasę: Shaftesbury Avenue, Piccadilly, Park Lane, Oxford Street i Charing Cross... Gdy wrócili wreszcie do hotelu Bomboni, na jej spotkanie wybiegł Giuseppe. Minęła już dawno godzina zamknięcia, więc w barze niecierpliwiono się. Bunny pożegnał Vittorię, uściskawszy jej serdecznie ręce, lecz gdy uszedł zaledwie kilka kroków, usłyszał, jak Giuseppe przemawiał do dziewczyny, po włosku, tonem niemal grubiańskim. Tak mu się przynajmniej wydało. Krew uderzyła mu do głowy, zawrócił prędko, ale nie zdążył ich dopaść, gdyż weszli do baru, zatraskując drzwi za sobą.

W wąskiej uliczce zapanowała cisza. Bunny roześmiał się sam do siebie. Najwidoczniej się pomylił, bo przecież Giuseppe nigdy nie śmiał przemawiać zuchwałym tonem do krewnej swego chlebowodawcy; w całym barze nie było bardziej uniżonego osobnika. Odszedł więc z lekkim sercem tanecznym krokiem i skierował się ku Great Coram Street, zapatrzony w wizję cudnej twarzy Madonny Andrea del Sarto. Resztę nocy spędził na układaniu i poprawianiu sonetu, o tajemnicy, jaką kryją oczy Vittorii. Tak był przeświadczony, o wartości swego poematu, że nazajutrz rano wysłał go do redakcji, tygodnika, który miał zaszczyt drukować utwory Bonamy Tredgolda.

Sonet spłodzony owej nocy stał się zawiązkiem cyklu wierszy, które zczasem pojawiły się w tomie zatytułowanym: „Carmina Amoris”. Nie należy wyprzedzać faktów — narazie wystarczy zana-



czyć, że miłosny sonet ogłoszony drukiem w literackim tygodniku wywołał silne wrażenie i powiększył rozgłos Bunny'ego. Wprawdzie Bunny zdobył sławę, lecz cierpiał w dalszym ciągu niedostatek. Pierwszy tom jego poezji już rok temu zjawiał się, niby ożywczy deszcz w pustyni. Starzy poeci odeszli w zaświaty. Było wprawdzie wielu utalentowanych ludzi, obdarzonych wyobraźnią, a wśród nich hałaśliwi heroldowie i wzniosli prorocy, zwolennicy klasycznej harmonii i symboliści, ale głos ich nie budził echa w Anglii. Dusza ludzka łaknie takiej poezji, która podobnie, jak muzyka jest wyrazem najsprzeczniejszych doznań, uczuć i zawiałości życia. W braku wielkiej poezji zadawalniano się skromniejszymi produktami poetyckiej wyobraźni. Toteż gdy zagrział namiętny głos Tredgolda i wybuchnął niby żywiołowa pieśń, zadrzały serca ludzkie. Słuchano go z wdzięcznością, przepowiadając młodemu poecie niezwykłą przyszłość.

Bunny przyjmował dowody uznania z takim samym lekceważeniem, z jakim słuchał oklasków, gdy odniósł zwycięstwo jako as kriketu. Lubił zwyciężać w krikiecie, lubił pisać wiersze, lubił też słuchać szmeru pochwał. Był jeszcze za młody, ażeby powodzenie miało mu przewrócić w głowie. Stokroć ważniejszą sprawą była konieczność zarabiania na życie. Cóż przyjdzie ze sławy, gdy człowiek nie jest pewny, czy mu starczy na jutrzejszy obiad.

W dzieciństwie i w okresie pierwszej młodości, Bunny przywykł do wystawnego trybu życia. W rodzinnej posiadłości, w Kornwalji, miał konie do swej dyspozycji i osobistego lokaja, który pomagał mu w ubieraniu się. Ale nadszedł kres łatwej egzystencji. Ojciec Bunny'ego umarł nagle, pozostawiając zadłużony majątek. Słuchacz trzeciego roku w Cambridge mógł od tej pory liczyć tylko na trzydzieści funtów rocznego dochodu. Jedynym jego realnym kapitałem był talent poetycki. Duma nie pozwalała mu wisieć na łasce bogatych przyjaciół, więc pojechał do Londynu i zaczął zarabiać na utrzymanie, jako poeta. Bieda dawała mu się odczuć dotkliwie. W pewnym okresie mieszkał na poddaszu, żywił się smażonymi śledziami, które kupował za dwa pensy, a raz na tydzień późnym wieczorem, siedł na targ sobotni i kupował mięso, sprzedawane za pół ceny. Gotował je sam, w wypożyczonym garnku, w kuchni swojej gospodyni. Ktoś, kto ma lat dwadzieścia, z apetytem je taki obiad, zwłaszcza, gdy patrzy z otuchą w przyszłość. Nasze samopoczucie zależy jedynie od tego, czy spodziewamy się czegoś od życia, czy też utraciliśmy już wszelką nadzieję. Pierwsze stałe zajęcie trafiło mu się w prowincjonalnym tygodniku literackim, później parę wierszy Bunny'ego pojawiło się na szpaltach londyńskiego brukowca. Zachęcany tem, udał się do wydawcy, który zgodził się, na zamieszczanie tygodniowych feljetonów Bunny'ego. Mógł więc już teraz przenieść się do przyzwoitej dzielnicy i kupować lepsze gatunki mięsa. Cudem jakimś nauczył się wiązać koniec z końcem. Pomimo, że był z natury rozrzućny, nie znoślił długów. Z dzieciństwa pozostało mu przykre wspomnienie o ojcu, który bez zastanowienia zaciągał pożyczki na prawo i lewo. Bunny wolał odmawiać sobie wszystkiego, aniżeli prosić o pożyczkę. Nieraz obywat się bez obiadu, zdarzyło mu się to pamiętnego wieczoru, gdy omdlał z głodu w obecności Jaspera. Skończył się wtedy najcięższy okres jego życia, gdyż z dniem każdym dochody poety zwiększały się i to tak znacznie, że mógł sobie wreszcie kupić wieczorowe półbuciki.

Naogół Bunny budził zazdrość, w młodych literatach. Wszystkie literackie kluby stały przed nim otworem, kobiety wzdychały do młodego pisarza i kolekcjonowały jego autografy. Lady Alicja korzystała w pełni z praw kuzynki po to, by go otaczać opieką. Lecz Bunny nie tracił głowy pod wpływem pochlebstw, jego nieskażona, pierwotna natura instynktownie szukała sprzymierzeńców wśród pokrewnych istot, oto dlaczego młody barbarzyńca najchętniej spędzał czas w towarzystwie Vittorii. Pociągała go czarem żywiołowej kobiecości. Subtelne blade damy z tak zwanego „dobrego towarzystwa“ nie miały w sobie owej ognistej siły, upajającej jak wino. Vittoria stała się dla Bunny'ego uosobieniem pełnowartościowej kobiety, łączyła radosne piękno kształtów z bystrą inteligencją. Każdy przejaw uległości tej nieokiełznanej istoty, zachwycał Bunny'ego. Nie dostrzegł w urodzie Vittorii niedoskonałości. Nie miała ich zresztą wiele. Piękny włoski akcent dodawał powabu jej rozmowie, chociaż posługiwała się podmiejską gwarą; miała zwinne, kocie ruchy, pełne nieopisanego czararu. Dzięki wrodzonemu taktowi, umiała dawać sobie radę z wyrafinowanymi osobnikami.

Krótką wycieczką autobusem odegrała rolę pierwszego ogniwa, w długim łańcuchu rozkosznych doznań. Bunny i Vittoria coraz częściej uciekali z dusznej restauracji, w słoneczną jasność ogrodów i skwerów. Znikała wówczas nieprzyjazna przegroda, jaką był kontuar hotelu Bomboni.

Pewnej niedzieli spędzili cały dzień w lesie Epping. Bunny nie zdawał sobie sprawy kosztem ilu ofiar zdobywa Vittoria każdą słoneczną chwilę. Była zawsze radosna i uśmiechnięta.

Stare dęby rozpościerały nad nimi zielony baldachim, szumiących gałęzi.

Vittoria leżała na ziemi, z głową wspartą na omszałych korzeniach. Obok niej siedział Bunny z papierosem w zębach.

— Ciekawa jestem — odezwała się Vittoria — czy ktoś napisze kiedyś taki wiersz o mnie.

— Jaki wiersz?

Przysunęła się nieco bliżej do Bunny'ego i zaczęła deklamować cichym, lecz wibrującym głosem sonet, który pojawił się poprzedniego dnia w „Literackim Tygodniku“.

— O Boże! — zawołał zdumiony Bunny, klękając na ziemi. — Jakto cudownie brzmi!... Nie miałem pojęcia, że to takie ładne. Dlaczego mi nigdy nie mówiłaś, że czytujesz moje utwory?

Recytowała teraz wiersze, z pierwszego okresu jego twórczości.

— Wydaje mi się, że tchnęłaś życie w martwy szkielec, — zawołał z uniesieniem.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową.

— Ależ tak, tak, — powtarzał z przejęciem.

— A ja ci mówię, że się mylisz. Twoje wiersze są piękne. Gdy je czytam, budzą się we mnie dziwne uczucia i myśli. Gdybym była rozumniejsza, może potrafiłabym ci to wytłumaczyć, ale słów mi brak. Czemuż te poezje nie dotyczą mojej osoby?

Tym razem Bunny zerwał się na równe nogi.

— Do licha! Przecież ty jesteś tematem wszystkich moich wierszy. Każde słowo, każde porównanie... To ty, to twoje oczy, twoje ciało, twoje serce i dusza.

Zbladła.

— Naprawdę? — zapytała, kładąc dłoń na piersi.

— Tak — wszystkie moje wiersze odnoszą się do ciebie.

(D. c. n.)



# GAŁĄZKA JEMIOŁY

Nowela

Marjana patrzyła na jego uśpioną twarz, na usta świeże, jak u dziecka, na rozrzucone niedbale ręce o smukłych palcach. I obok tej młodej postaci jawiła się w oczach kobiety ta druga, dziewczęca, giętka, z twarzą spłonioną od biegu i wichru. Niedawny obraz przytulonych do siebie głów, przypominał się, jak koszmar.

Marjana zacisnęła palcami powieki, aż do bólu, czując zarazem w głębi serca, że dla zadowolenia tego człowieka, którego ciężką głowę piastowała na kolanach, gotowa byłaby zrobić wszystko. Wszystko wytrzymać, znieść; nawet ten straszliwy obraz, z przed godziny.

— Czyha na ciebie radość życia, wesele, przygoda.

Czyha na ciebie cały świat z jego różnorakimi pokusami. Co mam począć, byś został, nie opuścił mię, by cię nie stracić. —

Marjana pochyliła się nisko nad śpiącym, a jej ogromne oczy, zdawały się dwiema czarnymi przepaściami, zawieszonemi nad uśmiechającą się sennie twarzą, skąpaną w kolorowym świetle lampy.

— Jestem gotowa na wszystko. Na każdą ofiarę — tylko pozostań! Pozostań ze mną do końca — żarliwie szeptały blade wargi kobiety.

W tej chwili otworzyły się drzwi i fala światła zalała mroczny pokój. Rozległ się wysoki głos Jane.

— Nareszcie będzie obiad. Ach... przepraszam. Nie wiedziałam, że pan śpi. —

Ale Michał siedział już i przygładzając rozwichrzone włosy, zawołał, zachrypniętym trochę po drzemce, głosem:

— Dziękuję pani, Jane! Zaraz idziemy. Wstaniesz, Marjano? — Pochylił się, chcąc pomóc żonie.

— O nie, Myszko, ja nie pójde do jadalni! Jestem tak bardzo zmęczona. Każ mi tutaj podać, dobrze? —

Michał wyszedł. W samotności, żuła Marjana przyniesione potrawy, udając raczej, że je. Nudności męczyły ją, jak zwykle.

Po obiedzie Michał nabrał doskonałego humoru. Wszedł, trzymając ręce w kieszeniach marynarki i kołysząc się z nogi na nogę, powiedział wesoło:

— Mam niespodziankę dla Marjany. Niech moja pani zgaduje. —

— Nie każ mi zgadywać, kochanie. Powiedz raczej odrazu. —

— A więc, słuchaj. Jutro jest wilja, pamiętasz? Przechodząc przez plac znaleźliśmy się z Jane, w małym, zaczarowanym lesie świerko-

wym. Wydaliliśmy się sobie dziecinni, jak Jaś i Małgosia. No i... kupiliśmy drzewko. —

Marjana uśmiechnęła się blado.

— To doskonałe. Bardzo się cieszę. Ale kto je ubierze? —

— Naturalnie, że my. Robiłem to przecież zawsze. Jane wybrała i kupiła ozdoby. Same srebrne i białe. Śnieg, nici, świeczki. Wszystko śliczne. A ja wybierałem drzewko. Znam się trochę na tem. Pamiętam przecież nasze lasy, nasze drzewa i nasze choinki... tam u nas... Pamiętam, że gdy przyjeżdżaliśmy na święta do majątku ojca w Pskowskiej gubernii, — mój brat Kostia i ja... — urwał nagle, machnął ręką i westchnął.

— Nie stoit waspaminat' — mruknął.

Chwilę stał omroczony, jak te jego lasy w Pskowskiej gubernji, ale natychmiast otrząsnął się. Na jego twarz wypłynął znowu uwodzicielski uśmiech, uśmiech dla Marjany.

— Przyniosę tu drzewko, chcesz? Ubierzemy je pięknie, a jutro będziemy śpiewać twoje kolędy, czy dobrze? Moja Marjana będzie się cieszyła, jak mała dziewczynka. A wieczorem zawiesi swoją pończoszkę przy kominku, by znaleźć w niej ładną niespodziankę. I będzie jak we francuskich, starych książkach, w poczytych książkach naszego dzieciństwa, które czytaliśmy kiedyś ty i ja. —

Gładził delikatnie jej włosy, pochyłoną szyję i ramiona. Marjana podniosła głowę i wpiła się wzrokiem w jego oczy:

— Ach, czemu nie można nic wiedzieć o sobie nawzajem. Czemu, żyjąc tak blisko nie wie się jedno o drugim więcej, niż o jakimś mieszkańcu Marsa.

Gdybym mogła wiedzieć, wiedzieć, wiedzieć. —

— Cóż to za nagła i dziwna tęsknota, Marjano? Jakiś nowy kaprys ślicznej pani? Czy myślisz zresztą, że byłoby lepiej i znośniej żyć, gdyby się wiedziało? Często dużo wygodniejsza i łatwiejsza jest metoda strusia.

Lepiej „nie wiedzieć“, Marjano — zaśmiał się cicho.

— Ale teraz pójde po drzewko. Dziś trzeba ubrać choinkę. Jutro będzie wilja. Pojutrze święto. To wiemy przecież, prawda? —

Wyszedł i Marjana słyszała, jak wołał:

— Jane, proszę zanieść ozdoby do buduaru. —

Za chwilę, zachrzęściły w drzwiach zielone igły, zatrzeszczały wyginane gałązki i mocny zapach żywicy i zimy

wypełnił pokój. Michał rozcierał pokłute palce, patrząc na sosenkę, ze smutną zadumą.

— Jołka... — powiedział cicho. I jak zawsze, gdy mówił po rosyjsku, Marjanie wydało się, że obca, sina dłoń odbiera jej serce męża. Poblądła jeszcze bardziej i głębiej wsunęła się w poduszki.

Właśnie Jane wniosła paczki. Wydobywała świecidełka i układała je ostrożnie na stolikach. Pokazywała wszystkie pokolei Marjanie, ale tak uparcie mierzyła ją niewidzącym spojrzeniem, że dziewczyna spochmurniała i przestała się do niej zwracać.

Michał gorliwie ozdabiał drzewko i tak był pochłonięty swoim zajęciem, że zdawał się nie widzieć nic prócz choinki, srebrnych nici i gwiazd. Pogwizdywał coś przez zęby i umocowywał białe świeczki w lichtarzyczkach. Nagle rzekł:

— Jak to dziwnie się składa w życiu... Skąd, na przykład, spotkaliśmy się w tem mieście pani i ja, prawda Jane? Z dwóch krańców Europy przygnały nas jakieś niespokojne wiatry, aż do tego kraju. Panią przycumował do obcych brzegów łagodny, morski powiew. Ten mądry wiatr starej, dumnej Anglii, który po wszystkich morzach świata rozsnuł jej okręty... Ale mnie? Dziki i gwałtowny „tajfun“, straszliwy władca wschodu, oderwał od ojczyzny i rzucił w świat, bosego wygnańca... — zaśmiał się szyderczo: — co za patos, nieprawdaż?

Raptem spojrzał na żonę i dodał:

Marjana ma już oczy większe, niż jej twarzyczka. Nie zasmucajmy Marjany. Mówmy o weselszych rzeczach. Ja opowiem o białej, mroźnej i srogiej tamtejszej zimie, o bezkresnym, zagubionym szlaku, po którym pędzi wiatronoga trójka, w szalonym zakładzie z losem o śmierć albo o życie. Opowiem o tamtejszej tęsknocie, smutku i zbłąkaniu i o szalonym, hulaszczem tętnie tamtejszej radości. — A pani, Jane? Pani nam opowie o waszych, starych zwyczajach, o pogodzie waszych domów, o dostojnych tradycjach: indyku, puddingu i... o jemiole... —

— Prawda! Jemioła. Gdzie ona jest? — zawołała Jane i rozejrzała się w koło. Zobaczyła gałązkę, leżącą na kominku i wzięła ją ostrożnie w palce.

— Jemioła. Zielona i złota, wesoła jemioła — szeptała w zamyśleniu. Dotykała delikatnie białych perełek, pieściła mięsiste listki, a w oczach jej jaśniał blask, tłumionych łez.



Podeszła do drzwi i wspiawszy się na palce, pieczołowicie zatknęła gałązkę za mały świeczek. Odeszła parę kroków i z rękami, skrzyżowanymi na piersiach, patrzyła na jemiółę.

— Do roboty, Jane! Nie wolno wspominać! — głośno zawołał Michał.

— Proszę poprzywiązywać nitki do koszyczków! —

Jane w milczeniu siadła przy oknie i wzięła w palce lśniącą, paciorkową ozdobę. On tymczasem opłatywał drzewko siatką migoczących nici, jak tęczową przędzą czarodziejskiego pajaka. Poprzytywierdzał do gałązek świeczki i choinka stała się podobna do sosenki w maju, strzelającej w górę, nadzieją młodych pędów. Osypał gałązki śniegiem. Drzewko wyglądało, jak biały duch lasu, w mroźną noc zimową. A Michał chodził w koło, jak dobry czarodziej, pod którego palcami wyrastały wciąż nowe cuda.

Marjana wodziła oczami za każdym ruchem jego rąk. Śledziła każde poruszenie, wtapiała się oczyma w dziwny senny i niewidzący wyraz jego twarzy.

Michał zamierzał właśnie zawiesić złotą gwiazdę na szczycie drzewka i obejrzał się za Jane, chcąc ją prosić o pomoc. Dziewczyna siedziała, patrząc w okno. W jej beczynnych palcach połyskiwały różnobarwne ogniki paciorków. Oczy zdawały się przenikać ciemności, pochłaniać przesłoneń wielu mil i błędzić u brzegów ojczyznej ziemi.

Sercem tułacza wyczuł Michał jej nastrój. Podeszedł do zadumanej. Dobrotliwie przesunął ręką po puszystych włosach i rzekł półgłosem:

— Daleko! — prawda Jane? —

Ale braterski ton załamał się, zadrdzała niepewnie ręka od zetknięcia z żywym ciepłem włosów. Oczy jego spotkały spłoszone i wilgotne spojrzenie Jane, która szybko spuściła głowę. Widział ciemny obłok rumieńca, zalewający gorącą łuną policzki, szyję, plecy i ramiona dziewczyny, widoczne pod przezroczystą bluzką.

Zmieszany cofnął dłoń i odszedł szybko w stronę drzewka. Drżącymi palcami usiłował przywiązać nitkę do promienistej gwiazdy, apoteozy strojnej choinki.

Marjana poruszyła się na tapczanie. W tej chwili dopiero Michał zdał sobie sprawę, że ani jedno słowo nie padło z jej ust w ciągu tego wieczora. Była niemy widzem rozgrywającej się sceny. Michał spojrzał na nią z pod przymkniętych powiek. Napotkał jej oczy z wyężeniem w niego wpatrzone.

Stał, w wyciągniętych rękach trzymając promienną gwiazdę, nie mogąc oderwać wzroku od twarzy Marjany, która powoli odwróciła od niego swe czarne i wielkie, pełne dziwnej wy-

mowy oczy, przenosząc je na siedzącą dziewczynę.

— Jane! —

Głos Marjany zabrzmiał tak ostro i przenikliwie, że Jane drgnęła od stóp do głów, a promienista gwiazda wypadła z palców Michała i spłynęła z wolna na ziemię.

— Jane! — powtórzyła rozkazująco Marjana. Dziewczyna powstała machinalnie i zbliżyła się do leżącej. Oczy jej żarliwie i trwożnie starały się odcyfrować to coś niepojętego, co czaiło się we wzroku Marjany.

— Niech pani stanie we drzwiach. rozkazała chora. W jej tonie było coś tak obelżywego, że Jane spłonęła, jak od uderzenia, ale posłusznie spełniła polecenie.

— Myszko, podejdź także i ty, do brze? —

Głos Marjany zdawał się omdlewać, drżąc niewypowiedzianą słodyczą.

Michał wzruszył lekko ramionami. Patrzył podejrzliwie na żonę i niezdeterminowany stał w miejscu.

— Myszko! — poprosiła jeszcze słodziej Marjana. Michał podeszedł wreszcie do drzwi, uśmiechając się niepewnie. Marjana siadła na tapczanie. Wpiła swoje przepaściste oczy w męża i przeplatając nerwowo palce, mówiła:

— Jutro jest wilja. Twoja pierwsza wilja na obczyźnie, bo tych spędzonych w Anglii nie liczysz. Anglję kochasz, jak drugą ojczyznę. Jest ci smutno. Tęsknisz. Ale nie bądź smutny, Myszko! Popatrz, oto stoi choinka, taka sama, jak w twojem dzieciństwie, tam w Pskowskiej gubernji...

Niech ci się zdaje, że jesteś znów Miszą, małym Miszą, kochanym przez mamę. I patrz! oto jemiółę... Jak w Anglii, której zwyczaję znasz tak dobrze. A pod jemiółą, dziewczyna. Dziewczyna stamtąd. Tam jest przecież taki zwyczaj... Myszko! pocałuj ją! Nie chcę, ja nie chcę, żebyś był smutny!

Marjana umilkła z wyczerpania, osunęła się na poduszki. Cisza, która zapadła po jej słowach miała ciężar, zdolny zdruzgotać ich troje.

Michał zamieniony w posąg, stał z uśmiechem zastygłym na ustach, ale jego oczy zapeściły się gniewem, nadciągającej burzy. Żył nabrzmiały mu na skroniach, nozdrza drgały gwałtownie, a ręce zacisnęły się w twarde, złe pięści. Marjana z osłupieniem patrzyła na niego. Takiego oblicza Michała nie знаła jeszcze.

Jane podniosła ręce. Wcisnęła je w oczy ruchem zrozpaczonego dziecka, chwilę stała nieruchoma, poczem zakreśliła się w miejscu, podbiegła do ściany i zdecydowanym, światoburczym gestem zrzuciła na ziemię gałązkę jemiółę. Popatrzyła na nią, ominęła szybkimi stopami i pędem wybiegła z pokoju. Rozległ się gwał-

towny trzask kilku kolejno zamykających się drzwi.

Jej ucieczka wyzwoliła Michała z pod złego ciężaru. Stopniowo znikało z twarzy napięcie i rozprostowywały się skurczone rysy. W końcu zwykły, oficjalny uśmiech wypełził na usta. Niedbałym ruchem wsunął ręce w kieszenie i zbliżył się do Marjany. W oczach jego zapalały się i gasły złe iskry.

— Czy zrobiłaś to, żeby „wiedzieć”? — zapytał urągliwie — i czy teraz już „wiesz”?

Chwilę patrzył twardym wzrokiem na leżącą, poczem odwrócił się i poszedł w stronę drzwi. Spojrzał na szaro-zieloną gałązkę, której białe perełki rozsypały się po ziemi i wyszedł z pokoju sprężystym, powolnym krokiem młodego władcy dżungli.

Marjana została sama. To co się stało przed chwilą wydawało się nierzeczywistym przywidzeniem. Przedziwna scena wyświetlała się chwilami wyraziście, jak na srebrnym ekranie, by za moment zapaść się w czelność osłupienia. Co to się właściwie stało? Czem był jej szalony, dziki odruch? Co go podyktowało. Gorączkowo starała się zrozumieć siebie, osądzić i usprawiedliwić.

Wciąż miała w oczach twarz Jane, o zbuntowanym, nienawistnym wyrazie i jej ruch pełen protestu, skrzywdzonego do głębi człowieka.

Ona skrzywdziła Jane. Tak, to prawda. Ale czy sama nie była stokrót okrutniej krzywdzona przez życie? Krzywdą losu i krzywdą wyrządzaną przez człowieka bliźniemu! — Jakże nierówno chwieją się szale! I wszystko tańczy w oczach, i wciąż stoi w pamięci. Jane, Jane i Jane. A przecież tu chodzi o Michała. O słońce i zapach życia. O samą treść istnienia. O Michała, którego zimne oczy powiedziały jej, że go niepowrotnie traci.

Michał odejdzie. Odebranem jej będzie żywe ciepło jego ciała, słodkie panowanie ust i władczych rąk. Nie będzie więcej zasypiał, opierając bezwładną głowę na jej piersi. Nie poczuje już nigdy muśnięcia jego miękkich włosów, nie usłyszy zdyszanych, miłosnych słów.

Michał odejdzie. Straciła Michała. Lecz w lodowatej pustce tej myśli zarysowała się wąska szczelina, sącząca z siebie nikły blask, i rozszerzając się powoli olśniła Marjanę błyskawicą zrozumienia. Strata. Jakie jest istotne znaczenie tego słowa? Czy w jego rozpaczliwym brzmieniu nie mieści się jakaś głęboka, tajemnicza wartość, równoważąca jego sens? Czy nie jest tak, że wtedy właśnie człowiek zyskuje istotnie, kiedy sądzi, że traci?

Janina Chamiec.



# Elektrownia dla dzieci Powiśla

Mieszkam w nowej dzielnicy Warszawy, gdzie widuje się wiele zdrowych, wesołych, ładnie ubranych dzieci.

W słoneczne dnie, najmłodsi obywatele, o pyzaty, różowych buziach, śpią w wózkach w małych ogródkach koło domów, lub odbywają spacer po cichych, zadrzewionych uliczkach.

Po południu (a szczególnie w lecie), ciche uliczki ożywają się. Starsze pociechy wracają ze szkoły.

Dzwonią bez przerwy rowery (małe, ale „prawdziwe” rowery — niedościgłe marzenie życia wielu małych Janków, Kazików, Zbyszków...), na niezakupionej parceli, w starym zdziczałym sadzie rozbija obóz bohaterskie plemię Siouxów, na ślepej uliczce, między sztachetami grodzącymi nowoczesne wille, toczy się zacięta walka „w dwa ognie”. Pod zwichrzonymi czuprynami błyszczą oczy, brudne ręce wyciągają się do latającej piłki.

Od czasu do czasu wychylają się z okien czujne mamy. „Juruś, na lekcję”. „Wańdziu kolacja, — Zbyszkule, proszę iść spać.”

I dlatego jest tak rozpaczliwie smutno, wyjść z tej dzielnicy zdrowych, i dobrze ubranych dzieci i trafić na hałaśliwe, brudne, biedne ulice. A jest ich tak wiele w Warszawie.

W studniach bezsłonecznych podwórek, na ruchliwych jezdniach i chodnikach bawią się także dzieci.

Słabe, źle rozwinięte płuca wdychają kurz uliczny i ohydny mieszaninę zapachów miasta. Niebo i słońce są tak wysoko, a świeże powiewy nie docierają tu nigdy.

Warszawa jest dziwnie uboga w ogrody i zieleńce, wiele dzielnic miasta nie posiada ich wcale. Te palące potrzeby miasta rozwiązuje częściowo Towarzystwo Ogrodów Jordanowskich, na czele którego stoi p. J. Jędrzejewiczowa.

Towarzystwo Przyjaciół I-go Ogrodu Jordanowskiego przy ul. Bagatela 2/4 zamieniło się w 1933 roku, na Towarzystwo Ogrodów Jordanowskich, o szerokim zakresie działalności. Dziś już kilkanaście miast posiada ogrody dziecięce, zaopatrzone we wszystko co jest naszym najmłodszemu do szczęścia potrzebne. Są tam trawiaste i ziemne boiska, piasek, woda, huśtawki, przeplotnie, zjeżdżalnie, dużo słońca, schron w razie deszczu, w zimie ślizgawka.

Pod opieką fachowych instruktorek i lekarek matki zostawiają bez trwogi swe pociechy. W zabawach uczą się

dzieci szybkiej orientacji, zręczności i solidarnej, uczciwej gry.

W Warszawie Towarzystwo prowadzi następujące placówki: I Ogród Jordanowski przy Bagateli, II przy ul. Hożej 88, III przy ul. Wawelskiej, V na Woli, VI na Żoliborzu.

W IV-yim Ogrodzie Jordanowskim na Powiślu wprowadzie czynnym już od zeszłej jesieni jako teren zabawowy, w ubiegłym tygodniu uroczystie otwarto piękny, nowoczesny pawilon.

Mieści on w sobie, obszerny hall z szatnią, i czytelnia dla matek, 2 sale jadalne, połączone w efektowną całość wielkimi szklanymi drzwiami, gabinet lekarski, pokój dla niemowląt, kancelarię, kuchnię, spiżarnię, pokoje kąpielowe, natryski, i umywalnie osobne dla dziewcząt i chłopców, wreszcie

mieszkanie dozorczy. Pawilon otacza ją obszerne werandy, a płaski dach został wyzyskany jako taras. Centralne ogrzewanie zapewnia stałą równą temperaturę. Nowoczesne lakierowane przyjemnymi barwami meble i kwiaty na oknach dopełniają estetycznej całości.

Dla Powiśla, gęsto zaludnionej i ubogiej dzielnicy, ogród ten będzie nie tylko miejscem zabaw dla dzieci, ale i placówką społeczną. Codziennie 200 dzieci dostanie tam talerz gorącej zupy, częstokroć całodzienne pożywienie niejednej i niejednego. Lekarki rozłożą opiekę nad stanem zdrowotnym i sanitarnym dzieci i ich rodzin, a instruktorki będą miały teraz ułatwione prowadzenie pracy wychowawczej.

Pawilon został ufundowany w 80% przez elektrownię warszawską, ponad-



w studniach podwórek, na ruchliwych jezdniach, bawią się także dzieci...



to okazali wydatną pomoc przy budowie Fundusz Pracy, M. S. Wojsk., które ofiarowało Towarzystwu drzewo na budowę i M. S. Z. dostarczyło grzejników do centralnego ogrzewania.

Na uroczystość poświęcenia pawilonu przybyli: wojewoda Jaroszewicz, wiceprezydenci miasta Olpiński i Pohoski, dyr. Funduszu Pracy, p. Grünwald, minister komunikacji płk. Ulrich, protektor ogródków Jordanowskich, dyrektor Nakonecznikoff - Kłukowski, przedstawiciele elektrowni, i cały Zarząd Towarzystwa O. J.

Symboliczne przecięcie wstęgi przez dyr. elektrowni p. Kühna rozpoczęło uroczystość. Po szeregu przemówień odsłonięto tablicę upamiętniającą fakt ufundowania pawilonu dla dzieci Powiśla przez Elektrownię warszawską.

Do sali gdzie byli zebrani goście zaglądało przez duże szyby wiele ciekawych rozplaszczonych nosków i wiele jasnych i ciemnych oczu.

Piękny odcinek pracy prowadzi Towarzystwo Ogrodów Jordanowskich, a w miarę rozrostu jego placówek zmniejszać się zaczęła ilość białych, anemicznych, o dorosłym wyrazie twarzyczek. Już nietylko w nowoczesnych dzielnicach Warszawy, będzie się widziało wiele zdrowych i wesołych dzieci bawiących się w berka, indjan i piłkę.

*H. Iwaszkiewiczówna.*



*Popołudniu ciche uliczki ożywiają się...*

# STANISŁAW NOAKOWSKI

1867 — 1928

Przed kilkoma laty zmarł w Warszawie artysta i człowiek niezwyklej miary: Stanisław Noakowski.

Pamięć o nim przechowywana w sercach słuchaczy wydziału architektury politechniki warszawskiej, którym przekazywał umiłowanie i entuzjazm dla piękna zabytków budownictwa, kolegów i towarzyszy z pracy, znalazła swój wyraz w urzędzeniu w gmachu wydziału architektury, uroczystej akademii ku czci ś. p. profesora Noakowskiego, oraz wystawy jego dzieł w największej z sal Instytutu Propagandy Sztuki. Przed oczami wszystkich nietylko jego uczniów, ale uczestników jego licznych publicznych odczytów stała żywa postać profesora i czar jedyne w swym rodzaju mistrzostwa: momentalnie powstających na tablicy czarownych wizyj architektonicznych, stanowiących wspaniałe dopełnienie słowa mówionego.

Stanisław Noakowski urodził się w Nieszawie 26 marca 1867 roku, jako syn rejenta okręgu Nieszawskiego,

zdradzającego zamiłowanie do literatury (tłumaczył z francuskiego i drukował kilka dzieł i pisał, pozostawione w rękopisie, oryginalne). Od wczesnego lat dziecięcych pociąga Noakowskiego piękno starych budowli, zachwyca go kościół gotycki św. Jadwigi z białymi szczytami barokowymi, miasta rodzinne; rysuje z zapalem domki, chałupy i dworki. W pobliskim Włocławku i Łowiczu uczęszczał do szkół, rysując tamtejsze pomniki, zajmując się z entuzjazmem uczeniem historii polski i literatury. Jesienią roku 1866 wyjechał Noakowski do Petersburga i idąc za głosem powołania artystycznego, zapisał się na wydział architektury tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. 30 lat pobytu w Rosji, okres rozwijającego się talentu i wzrastającego uznania, przerwany był wędrówkami po miastach i wsi rosyjskiej, podróżami na Zachód Europy i wakacjami spędzonymi w Polsce.

Zaraz po ukończeniu studiów, wysłany zostaje Noakowski, na koszt

rządu zagranicę. Wymagane od stypendysty sprawozdanie z przebiegu odbytej podróży: to cykl akwarel przedstawiających wnętrza pałaców Paryża, Wersalu, Compiègne Fontainebleau, notaty artystyczne, pełne wyrazu i śmiałości ujęcia.

Rok 1899 przynosi Noakowskiemu stanowisko Kustosza Muzeum Przemysłowo - Artystycznego przy Szkole Stroganowskiej w Moskwie i nominację na profesora historii sztuki tejże uczelni.

Wycieczki dalekie w głąb Rosji, podróże do Holandji, Belgji, Niemczech, Grecji i Włochy wzbogacają niezmiernie zasób artystycznych przeżyć i wiedzę o sztuce różnych narodów.

Powstają też najpierw liczne szkice budowli widzianych, istniejących, widoki architektury rosyjskiej, pociągającej artystę odrębnością i egzotykiem swej malarskiej formy, interesuje się barwnością i kształtem cebulastym i gruszkowym kopuły.

Są to fragmenty wybujałego bu-



downictwa Rosji przedpiotrowej, a następnie pełne przepychu powagi i wielkości zabytki epoki klasycystycznej i empirowej.

Pod naporem wizji wewnętrznej, potężnej mocy jaką jest fantazja twórcza, rzeczywistość ustępuje, odsuwa się na dalszy plan.

Nagromadzone latami przeżycia artystyczne, stanowią niewyczerpany w swem bogactwie kapitał. Tworzy teraz artysta pełne indywidualnego wyrazu fantazje na tematy architektoniczne „Pomysły na wzorach istniejących oparte”. Oddalonemu od Polski marzą się cuda jej architektury, nic to, że często wplecie się do nich nieistniejący w rzeczywistości motywy, że wzbogaci ją szczegół zapamiętany w którejś z wędrówek po dalekich i obcych krajach. Wyjątkowa intuicja historyczna nie dopuści do żadnej nuty fałszywej, charakter ogólny, wymowa form plastycznych zostaje zawsze zadziwiająco trafnie uchwycony. W ten to sposób powstają fantazje na temat dawnego Wawelu, szkice architektury polskiej w stylach XIII—XVIII wieku.

Pierwsze dwa lata wojny przyno-

szą wielki cykl (160 kompozycji), wydany częściowo we Lwowie w r. 1920 p. t. „Architektura Polska”; następne wspaniałą „Italia Fantastica” (domy z loggiami, bramy, dziedzińce renesansowe i t. p.).

W roku wreszcie 1928 wraca Noakowski do Polski i rozpoczyna swą niezmiernie owocną działalność pedagogiczną jako profesor historii sztuki na wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej.

Powstają teraz cykle ołtarzów z polskich kościołów barokowych, oraz ich piękne sylwety i fragmenty, cykl kompozycji, w których obłoki układają się w wizje fantastycznych postaci; reminiscencja rzeczy dawno widzianych w czasie licznych podróży, a wreszcie prace „na temat” nowożytnej architektury.

Wystawa w I. P. S. daje nam przegląd prac Noakowskiego od epoki młodzieńczej (np. kajet z rysunkami z pobytu w Studziankach latem 1883 roku), widoki z Włocławka, aż do lat ostatnich. Przesuwają się przed oczami widza widok stron rodzinnych, skromne kościoły wiejskie; wspaniałe wnętrza Wersalu, „Stara



Mury polskiego miasta.

Stanisław Noakowski.

Rosja” z jej cerkwiemi, murami i basztami dawnych miast, wrażenia z Grecji, fantastyczne mosty i zamki i wreszcie czary polskiej architektury. A obok architektury czasem kraj- obraz polski, fragment parku czy ogrodu, samotny wiejski cmentarz.

Zawsze jakaś wizja świata realnego rzucona śmiało z techniczną brawurą na papier. Akwarela, tusz, seppia, tusz z bronzem i złotem, harmonie czarno-brązowe, brunatno-purpurowe, czasem złoto-niebieskie, plamy impresjonistyczne, notatki wrażeń doznanych: transpozycja rzeczywistości na wartości indywidualne, ściśle subiektywne. Niewyczerpane były zasoby fantazji Noakowskiego, pod koniec życia; gdy słabnący coraz bardziej wzrok utrudniał mu pracę, pod powiekami tłoczyły mu się coraz to nowe i coraz inne wizje, które już niestety zabrał ze sobą.

Pozostawił też profesor Noakowski dar i dzieciom polskim; fabryka „Gnom” wykonała według jego pomysłu klocki, z których młodzi budowniczy wznosić mogą budowle w różnych stylach — aby może kiedyś stać się prawdziwymi arystami, a w każdym razie, ludźmi obdarzonymi darem odczuwania piękna zawartego w sztuce plastycznej.

Jadwiga Puciata-Pawłowska.



Obłoki. Na Anioł Pański.

Stanisław Noakowski.

## Małe niedole życia towarzyskiego

### Przyjęcie

— Zapraszał lis bociana, a bocian lisa.

— Znamy, znamy....

— Mimo to — posłuchajcie: — Częstoś walczył z bocianem rzadką zupką nalaną na puste talerze, o których dno doremnie stukał ostry, długi dziób gościa. Ten znowu przyjął lisa mięsiwem

wpakowaniem do wysokich butelek, przez których ciasne szyjki nie mógł się przedostać miękki pyszczyk. Takie postępowanie jest bardzo nieładne — świadczy o tem, że przyjmujemy gości tylko z obowiązku, czy przez próżność, a nie dlatego, że ich lubimy i radziłyśmy im sprawić przyjemność.

— Litości — dosyć! Po co nam tu

pani opowiada stare bajki z morałami dla dzieci.

— Dla dzieci? doprawdy?!... Więc czemu tak często nasładowujecie lisa i bociana — wy, dorośli; z kądiną mądrzy i doświadczeni?

Zapraszamy i jesteśmy zapraszani na t. zw. przyjęcia. A zawsze okazuje się, że zaproszono więcej osób niż



jest w mieszkaniu krzeseł. Panowie mogą powstać.

— No pewnie, że mogą; ale kiedy tak z posępnymi minami podpierają ściany — nie jest ani im wygodnie, ani siedzącym paniom — przyjemnie.

A przy kolacji dzieje się zupełnie, jak u lisa i bociana. Mnóstwo wyborowego jadła, które nie wiadomo jak jeść. Konia z rzędem temu co potrafi, manewrując w powietrzu widelcem i nożem, obracać ptasie skrzydełko. Łykają więc ludzie z rezygnacją kanapki, takie co to „na jeden kąsek”, ale i tak walają palce majonezem. Smakowite kawałki węgorka, z właściwą przedmiotom martwym złośliwością, w ostatniej ćwierćsekundzie odlepiają się od chleba i ześlizgują po sukni, znacząc szlak wędrówki tłustym, zygakowatym ornamentem.

Je się rybę faszerowaną (bo to łatwiej na stojąco) z sosem zwierzynowym (bo ktoś postawił w pobliżu sosierkę). Barszcz zagryza się słodkimi petit four'ami, a czarną kawę — pasztecikiem z kapustą. Octową sałatkę z reguły przynosi uprzejmy cavaliere servante na deser; bo, oczywiście, myślał, że to kompot.

A zresztą mniejsza o to. O warszawskich kolacjach a la fourchette można napisać wielotomowe dzieło pod tytułem: „Męki Tantala czyli udręka gastronomów”, ale nie sposób poświęcić im więcej miejsca w ramach feljetonu o niedolach ludzi zmuszonych bywać na przyjęciach. Bo gdybyż to się na tem tylko kończyło, ach gdyby!...

Któż z nas nie wspomina z rozczuleniem koleżeńskich herbatek, na których mogło zbraknąć nawet... herbaty, ale nie brakowało nigdy dobrego humoru i serdecznego nastroju.

A na „przyjęciach”...

Przyjęcie to dużo osób zaproszonych niewiadomo po co. To jest, owszem — wiadomo. Po to żeby zrewanżować się za takie same przyjęcia.

— Takie same? No, niezupełnie; każda ambitna gospodyni lubi przelicytować poprzedniczkę, zrobić lepiej. — Tam był sandacz — my damy łososia. Ich kruszon z niewiadomych składników zgasimy niewątpliwą autentycznością win francuskich podanych w butelkach z etykietami. „Zastaw się a postaw się” i niech pękają z zazdrości.

W rezultacie nikt nie pęka, ale każdy się głowi po co się to ludziska tak mocno stawiają w takich ciężkich czasach. Ztąd twarze skupione i zafrasowane (trudno będzie zrewanżować się w tej samej skali) — atmosfera daleka od miłej lekkości tyle w salonach pożądaney.

Że, jako się wyżej rzekło, gości zaprasza się zawsze zbyt licznie (żeby już to odwalić hurtem) — nie ma mowy o tem, żeby gospodarze mogli każ-

demu indywidualnie poświęcać więcej uwagi i czasu. Stereotypowe: — Czy państwo aby co jedli? — albo: — Mam nadzieję, że się pani dobrze bawi — to chyba maksimum zainteresowania jakie może okazać poszczególnym zaproszonemu zaafektowana pani domu, wydająca wielkie przyjęcie.

Aby przecie stworzyć jakąś atrakcję salonu (po za łososiem i, tyle trudnym do skonsumowania indykiem) — w niektórych domach zwykło się zapraszać, mówiąc po staroświecku „lwy”, a nowomodnie — „asy” albo „nazwiska”.

Takim lwem-asem o atrakcyjnym nazwisku, może równie dobrze być znokamiony mąż stanu, jak sławny tenor, laureat nagrody państwowej, olimpijski rekordzista, gwiazda filmowa, wielki uczony czy głośny wymalazca, autor granej z powodzeniem komedji, a nawet — popularny jasnowidz. Zresztą — wedle stawu grobla: znam salony w których rolę asa-lwicy zmuszona jest grać referentka mody.

Szczśliwy wybór lwa zależy od trafnego wyczucia poziomu snobizmu wśród grona zaproszonych. Zdarza się nieraz, że jasnowidz i referentka mody są oblegani i zadreczani: Proszę pana, niech pan coś powie o mnie wogóle. — Proszę pani, co było na balu mody? podczas gdy światowej sławy uczony ziewa osamotniony w kącie. Na szczęście dzieje się czasem i naodwrot.

Zwyczaj zapraszania lwów na okrasę przyjęć jest stary jak świat (a przynajmniej „świat” w znaczeniu towarzyskim). Nie ma w tem nic złego — ot odrobina niewinnej próżności. Szkoda tylko, że tak rzadko pamięta się o tem, że lwa należy nakarmić.

Och, nie mam na myśli kolacji. Chociaż i o tem nie zawsze się pamięta. Zwłaszcza jeżeli atrakcyjny gość jest na djecie i przybycie swe uzależnił od talerza kaszki, czy dwóch jaj na miękko. Zwykle okazuje się, że w ogólnym rozgardzaju, kaszka „wyleciała z głowy”, jajka zużyto wszystkie co do jednego na majonez i lody, i: — grzybka w occie, albo kawałtka schabu z korniszonem, drogi mistrzu! (Mistrz, chory na wątrobę i djabetyk).

Ale przecie nie samą kaszką na mleku i jajami na miękko człowiek żyje. Najostrzejszym, najdokuczliwszym z głodów nurtujących w psychicznym organizmie ludzi skazanych na „rozrywki towarzyskie” — jest próżność, zwierzę stale drażnione, nigdy nienasycone. Lew, przybywający łaskawie na nasze wezwanie mile łaskocze naszą próżność, my, tak często, zapominamy o należnym rewanżu.

Na wstępie, naturalnie: — Jakże się cieszę! tak strasznie się cieszę — wielki to dla nas zaszczyt. — Potem: — Pan X, którego wszyscy państwo oczy-

wicie... Ale nieraz okazuje się, że wcale nie oczywiście... Że jedna z pań głośnym szeptem zapytuje drugą, czy X to ten pianista, czy ten akrobata; a dowiedziawszy się, że ani ten, ani tamten, tylko literat — mówi rozczarowane „ach” i podejmuje znów z ożywieniem ogadywanie bliźnich.

Poczem lew sobie, goście sobie; a zrozpaczona gospodyni: — Na miłość Boską niechże z nim nareszcie ktoś pogada. Ja wiem, że on mruk i piła, ale przecie tak nie można.

Nadmiar powodzenia też niezawsze lwie serce raduje. Bo ten produkt mierzy się na jakość, a większość sukcesów towarzyskich należy zaliczyć do próbek bez wartości. Np. każdy poeta ma na sumieniu jakiś wierszyk, kiedyś nieopatrznie napisany na obśtalunek, czy prośbę; utwór którego okropnie się wstydzi. A właśnie tym wierszykiem częstują go do końca życia deklamujące na zebraniach towarzyskich panienki. O ten wierszyk dopraszają się natrętnie słuchacze, których autor postanowił ufetować lekturą dzieła najostatniejszego i najukochańszego. A każda nowopoznana osoba zaczyna rozmowę od: — Ach, ja się tak kocham w tym pańskim „cudownym” wierszu! (właśnie tym, znie-nawidzonym).

Jeżeli lew jest lwem tresowanym, czyli takim co produkuje się solo i na żądanie (gra, śpiewa, tańczy, deklamuje, przemawia), to z zasady nie daje mu się spokojnie wypalić papierosa, poflirtować z damą serca (lwy miewają serca, a jakże), czy poprostu i prywatnie wziąć udziału w ogólnej rozmowie. — Rycz lwie, jak ci zagrają — po to cię tu zaproszono.

„Drogiego mistrza” wlecze się przymocą do fortepianu. Śpiewaczce nikt nie wierzy, że ma chrypkę, że musi oszczędzać swe cenne i wrażliwe gardło (to jest nawet źle widziane, że się tak każe prosić i drożyć). Od polityka żąda się niedyskrecji i salonowo efektownych exposés (czy będzie wojna panie pośle, i kiedy wy już raz zrobicie koniec z tym kryzysem?) — gdy on, zmęczony, najchętniej zagrałby spokojną partyjkę bridge'a, aby choć na parę godzin oderwać myśli od groźnie skomplikowanych problemów.

A kiedy steroryzowane lwy godzą się wreszcie zaryzykować na ogólne żądanie, nie znaczy to bynajmniej, że będą się ich słuchało z uwagą i uznaniem. Ci co najkategoryczniej domagali się występu, najpierwsi rozlażą się po bocznych pokojach, albo wszczynają głośną wymianę zdań.

— Bo te salonowe produkcje to właściwie nie mają sensu — tylko przeszkadzają w rozmowie.

— A co właściwie ma sens na tym nadole? Chyba nie przyjęcia? — Zwłaszcza takie przyjęcia.

Jadwiga Kiewnarska.





Chusteczki balowe

koronka point lasse



Marioch



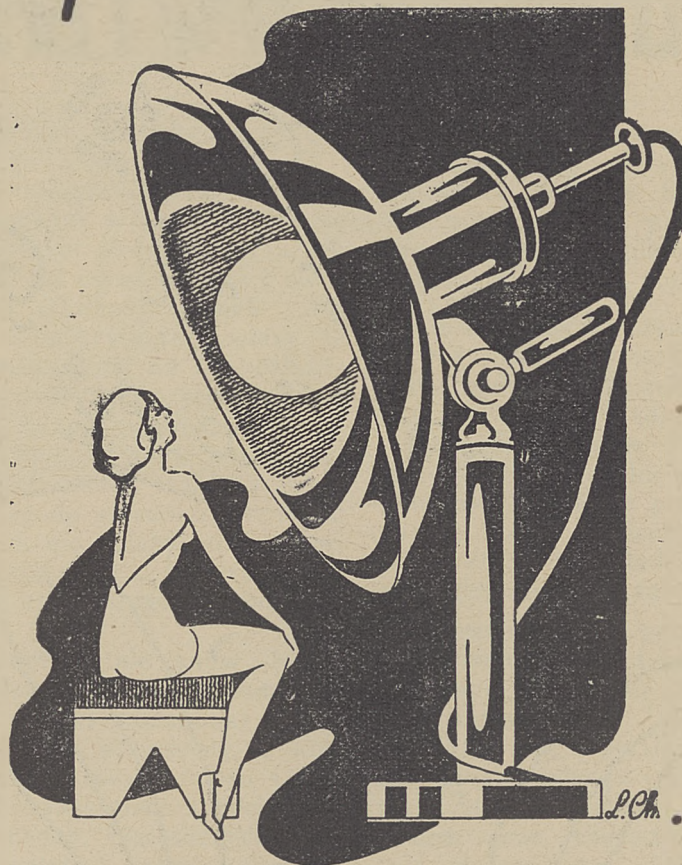
# Piękność pleców

Przy obecnych wymaganiach mody trzeba koniecznie mieć ładne plecy. Tak zwana przez Francuzów „wielka tualeta” wydaje je na pastwę oczu publiczności. Ale nawet i te panie, które unikają sukien wieczorowych nie zdołają ukryć wadliwej budowy pleców: podniesionych ramion, wypukłych łopatek, otłuszczenia karku, bezwładu barków. Braki te postarzają, szpecą, deformują sylwetkę.

Zapobiec im, jak również naprawić te defekty może tylko odpowiednia gimnastyka. Oto jedno ćwiczenie, łatwe do wykonania i niezmiernie skuteczne: Spuścić głowę na piersi, wyciągnąć ramiona naprzód, poczem cofnąć silnie łokcie ku tyłowi, wyprężyć biust, odrzucić wtył głowę. Drugie ćwiczenie, to ruch wiosłarza. Można go wykonać bez łódki i wiosła, usiadłszy ze zgiętymi nieco kolanami na ziemi. Zagranica produkuje nawet w tym celu specjalne przyrządy. Ćwiczenie to wygładza plecy, niweluje tłuszczowy wałek na karku i nadaje wdzięk chodowi kobiety.

Jeszcze jedna rada, błahe pozornie — a jednak zasadnicze: pamiętać o trzymaniu się prosto. Należy też zwrócić baczną uwagę na dzieci — aby nie nabierały złego przyzwyczajenia niedbałego, leniwego siedzenia z wpadniętą klatką piersiową i podanymi ku przodowi ramionami. Tym, które mają skłonność do garbienia się, można polecić, aby codziennie przez 15 — 20 minut leżały nieruchomo na dywanie nawznak, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

*promienie zdrowia*



**TUNGSRAM-LUX**

*LAMPA DOMOWA*

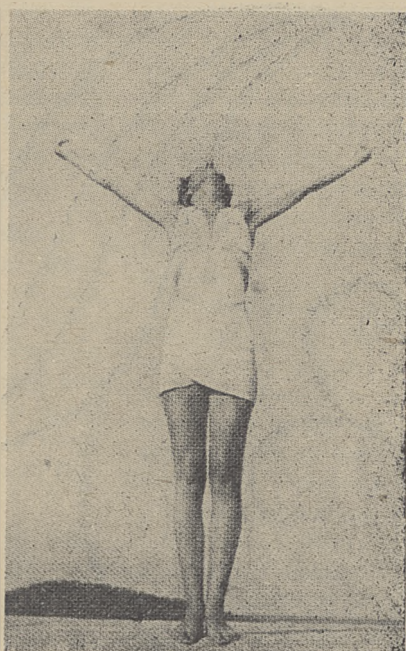
*do naświetlań leczniczo-kosmetycznych  
— tania oszczędna w użyciu*

*Prospekty wysyła bezpłatnie*

*ZJEDNOCZONA FABRYKA ŻARÓWEK Spółka Akcyjna, Warszawa, ul. 6-go Sierpnia 13.*

## CODZIENNA GIMNASTYKA JEST PODSTAWĄ

## KULTURY CIAŁA



Ćwiczenie Nr. 4. Pozycja początkowa: Ta sama, co przy ruchu Nr. 3. Ruch: podniesienie ramion i ruch rotacyjny, wykonany tak, aby się ręce złączyły nad głową. Głowa odrzucona silnie wtył i wdech przez nos. Opuścić wyciągnięte ramiona tak, żeby się skrzyżowały na piersiach, uciskając je, co jest wybornym masażem mięśnia podtrzymującego pierś, tak ważnego w organizmie kobiety. Podczas opuszczania ramion wydychać świszcząc.

### *Koronka do chusteczek point lasse*

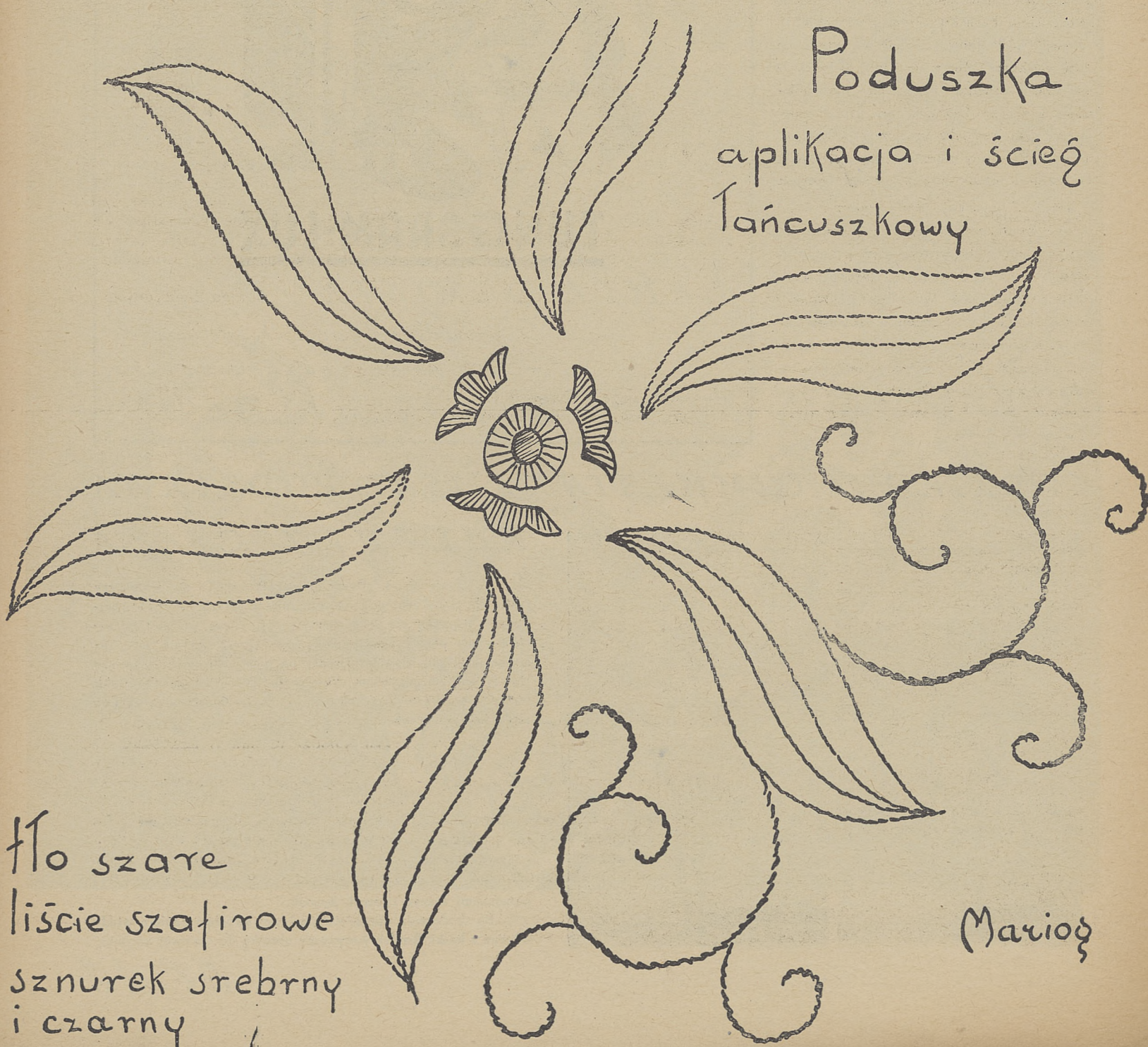
Wzór na całą chusteczkę przerysować na kalce płóciennej. Na odwrotnej stronie rysunku przystrzygować tasiemczki, cienką nitką obrzucić brzegi tasiemki łącząc według rysunku. Następnie jedwabnym kordonkiem robić pajęczki i tiul oraz palczkami łączyć rysunek koronki.

Po skończeniu uprasować po lewej stronie i dopiero wtedy odpruć z kalki. Środek wszywamy okrętką do gotowej koronki.





# Poduszka aplikacja i ścieg Tańczuszkowy



fl. szare  
liście szafirowe  
sznurek srebrny  
i czarny

Marioł



# W OBRONIE DNIA POWSZEDNIEGO

## CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI WILKIEM.

Gdyby te „wilki” zniknęły z powierzchni naszego życia, stałoby się ono wkrótce zbliżeniem do oazy szczęśliwości. Wiadomo bowiem, że nic tak nie wygładza powierzchni moralnych, jak lojalna życzliwość co to w oczy i za oczy kieruje się jednymi i temi samymi kanonami.

Tymczasem „wilki” żerują na terenie dnia powszedniego, który jest rozgrywką rzeczy małych i wielkich, walki o chleb powszedni, o stanowisko, majątek, zaszczyty, uznanie, walki o znaczenie.

Znać chce każdy. Każdy na swoim odcinku szuka ujęcia dla ambicji, zadowolenia miłości własnej, zaborczości władania takim, czy innym terenem. Gestem jawnie wojowniczym, układowym uśmiechem, pięścią, czy aksamitnym ujęciem, jak kto umie, jak kto może walczy o prawo pierwszeństwa.

Zwyczajnie przeważnie narzucający swoje *prawo* do *prawa* pierwszeństwa — zostaje zdystansowany ten kto „oddaje się w opiekę bliżniemu

swemu”, wierząc, że pokocha go, jak siebie samego.

Nasza „świełtana” wiara w ludzi, z jaką wchodzimy w życie, ściiera się z czasem niczem złota obrączka, co to z biegiem lat coraz cieńsza i cieńsza zatraca solidność ścianek. Zaczynamy od bezkrytycznej wiary — kończymy najczęściej na bezkrytycznym braku wiary, a to jest właśnie dowodem złego nastawienia psychicznego, które prowadzi z ostateczności w ostateczność, zakłóca równowagę i pogodę stosunku do ludzi.

Bo tak, jak nie należy entuzjazmować się u progu życia, tak trzeba się wystrzegać krańcowego rozgoryczenia.

Niema aniołów, ale znów ludzie nie są djabłami bez serca i sumienia. Egzemplarz ludzki najczęściej spotykany to człowiek przeciętny, z którego można wykrzesać dobro i zło zależnie od umiejętności zażycia jego cech wrodzonych; białoskrzydłe, altruistyczne anioły i czarne skąpane w smole djabły to wyjątki.

Na nadmiar entuzjazmu życie samo znajdzie lekarstwo, gorzej jest z rozgoryczeniem, przed którym musimy się bronić same. Bo niech tylko fala

gorzkiej zaleje wrażliwą duszę kobiecą, zatonię w niej wszystko co składa się na sól życia. Bo jakże żyć w wiecznej czujnej i podejrzliwej niewierze, której wynikiem jest przeświadczenie, że — nic nie warto!

Ale od czegoż instynkt samozachowawczy, dopomagający do urobienia sobie specjalnej filozofii, która każe być zawsze w porządku z samą sobą, niczego się wzamian nie spodziewać, wszystko dobre, jakie nas spotka od ludzi uważać nie za przynależną nam daninę, ale za uśmiech losu, za przywilej, który ma władczy dar budzenia wdzięczności i rozczulenia.

Coprawda nawet przy takim wysoce filozoficznym systemie zdarzają się załamania, ale nie są ani długotrwałe, ani nieuleczalne. Uśmiech wraca, chociażby pod wpływem umiejętności zrobienia lojalnego rachunku sumienia. Zawsze znajdzie się gdzieś na samem dnie, chociażby okrucieństwo naszej własnej winy, która rozpętała złość ludzi, czy losu. Wystarczy odzyskać ją, aby fala gorzkości i zawodu nie zabiła bezpowrotnie uśmiechu i radości życia.

Wanda Dobrzańska.

## Warzywnictwo podstaweczne

Wciąż jeszcze za mało jadamy jarzyn. Za mało im udzielamy miejsca w naszych jadłospisach. Nawet w tych domach, gdzie są one w codziennym użyciu, zawsze się traktuje jako dodatek, jako garnitur do dań mięsnych, przyczem jako dodatek zbyt kłopotliwy, który przy pierwszych trudnościach finansowych, przy pierwszej konieczności oszczędzania, przestaje się podawać.

Na ciągle nawoływanie lekarzy i higienistów gospodynie nasze mają jedną odpowiedź: „jarzynki — tak zdrobniale i pieszczotliwie mówi się o podstawowym produkcie odżywiania — więc jarzynki chętnie dajemy latem i jesienią, wiosenne nowalijki to przysmak za drogie do codziennego użytku — a zimą w Warszawie jarzyn nie ma.

Tak, kategorycznie mówią, że zimą w Warszawie nie ma jarzyn, co jest zupełną nieprawdą. Widać, że nasze gospodynie wcale nie odwiedzają na-

szych dużych rynków, nawet nie oglądają wystaw dużych sklepów spożywczych.

Jarzyn mamy nietylko pod dostatkiem, lecz — ogromne bogactwo i rozmaitość. Szczególnie w ciągu ostatnich lat kilku, rynek nasz warzywny ogromnie się wzbogacił, należy się tylko nauczyć przyrządzać te zimowe jarzyny, nauczyć je wykorzystywać. Powołujemy się chętnie na to, że łatwo za granicą jadać jarzyny, skoro się ma przez całą zimę nawet te najwykwintniejsze.

Otóż jeśli dla porównania weźmiemy na przykład taki rynek paryski, rynek stolicy świata, to i tam na zimę znikają wszystkie jarzyny letnie miejscowego chowu. Nie widać ani zielonego groszku, ani młodej kalarepki. Kalafjory i zielona fasolka, pomidory i karczochy, wszystko to przychodzi z dalekich kolonii afrykańskich i wcale nie jest tańsze niż u nas. Przeciwnie wszelkie najprostsze warzywa od kartofli, kapusty, marchwi i buraków

zaczynając są wtrójnasób droższe niż u nas.

Ogromnie oszczędne i wyrachowane gospodynie francuskie w codziennym życiu używają właśnie tych najpospolitszych jarzyn: marchwi, rzepy, brukwi, kapusty, selerów i porów, szpinaku i żółtej banii, artykułów, które i u nas nawet po małych miasteczkach jesienią nabyć można i które się łatwo w piwnicach przechować dają.

W Polsce coraz to szersze koła gospodyń, ze Związkiem Pań Domu na czele zaczynają pojmować wagę i nawet konieczność zwiększenia spożycia jarzyn, chodzi jednak o nauczanie ich, a głównie najbardziej konserwatywnych ich pomocnic domowych, smakowitego przyrządzania tych jarzyn.

Polski Związek Producentów Warzyw, łączący większość podstawecznych producentów, ma na celu nietylko podniesienie i uporządkowanie handlu jarzynami w Warszawie lecz i szerzenie umiejętności ich użycia i spożycia.



Jemu to zawdzięcza stolica urządzenie porządnego, oświeconego elektrycznością, wybrukowanego i ogrodzonego targowiska dla hurtowego handlu jarzynami na Grójeckiej lecz i ujednolitenie cen, podniesienie jakości produktów warzywnictwa, dostarczanie ludności stolicy jarzyn po cenach dostępnych, co da się uskutecznić przez zniesienie szeregów pośredników, których zarobki częstokroć dwukrotnie przewyższają wartość towaru.

Szczególne znaczenie będzie to miało na nadchodzącą wiosnę, kiedy coraz to trudniejsze warunki ekonomiczne nie pozwolą na dane wydatki, a ze zjawieniem się pierwszych nowalijek, nawet najwięksi wrogowie kuchni jarskiej, najbardziej mięsożerni panowie stworzenia — mężowie i synowie zaczynają tęsknić do zieleninki, łaknąć jej wprost i głośno się domagają sałatek inspektowej i rzodkiewek, karotki i szparagów, wszelkich bogatych w życiodajne witaminy nowalijek.

Jakie olbrzymie ilości jarzyn spożywa stolica, tego dowodzą cyfry, dowodu ich na targowisko na Grójeckiej.

Od czasu gdy Związek Producentów Warzyw powstał, od roku 1925 ilość ta corocznie notowana, wciąż wzrasta. W roku tym wynosiła ona 69.423 wozów, a w roku 1934 doszła do 98.298 wozów, w roku ubiegłym nieco spadła — nie wiemy czy jest to dowodem zubożenia ludności miejskiej, a stąd zmniejszenia spożycia, czy też gorszego urodzaju i zmniejszenia podaży, bo dowieziono 96.300 wozów — czyli o parę tysięcy wozów mniej niż w roku poprzednim.

Należy zauważyć, że notowania targowiska na Grójeckiej nie obejmują całokształtu dostarczonych stolicy warzyw. Niektóre, wykwinniejsze jarzyny są dostarczane przez ogrodnictwo w mniejszych ilościach wprost do sklepów.

Około 25 procent wozów jedzie wprost na inne rynki i targowiska, aby swój towar rozprzedać detalicznie nabywcom. Do tych należą wozy zajmujące się handlem ulicznym, surowo przez władze miejskie i policję przesładowane, a jednak wciąż kontroli się wymykające. Nakoniec nie podlegają rejestracji transporty warzyw przychodzące do stolicy koleją — już przeważnie ze stron dalszych.

Z tych cyfr widzimy, jakie olbrzymie jest spożycie jarzyn w Warszawie dzisiaj, kiedy jeszcze nie weszły one w powszednie użycie, kiedy są one właściwie niedoceniane.

Warszawscy podmiejscy producenci warzyw nie tylko stolicy dostarczają swoje produkty. Wysyłają oni wagowo jarzyny do różnych okolic kra-

ju mniej i nieobfitujących, między innymi na Śląsk, do Katowic i na Pomorze do Gdyni a nawet do własne, bogate ogrody posiadającego Gdańska.

Związek warzywników jednak nie tylko samą produkcję warzyw i powiększenie ich zbytu ma na celu.

Chciałby on nauczyć nie tylko mieszkańców stolicy z Gospodyniami na czele ich racjonalnego, gotowania i przyrządzania, lecz całą ludność naszego kraju zachęcić do uprawy coraz to większych ilości i coraz to nowych gatunków warzyw.

## TO TEŻ WYMAGA STARANIA

Nie tylko gatunek materiału i stopień jego zniszczenia wpływają na dobry wygląd odzieży. Duże znaczenie ma w tym względzie umiejętność noszenia i stopień starania, wkładany w konserwację odzieży.

Jedną z najważniejszych rzeczy jest przechowywanie noszonej garderoby. Każda sztuka powinna bezwarunkowo wisieć w szafie, czy też w przedpokoju na odpowiednim ramiączku. Bardzo wskazane jest zabranie ramiączka, oznaczonego własnymi literami do biura lub innego miejsca pracy. Palto czy futro zawieszone w ten sposób nie wygniatą się i zachowuje właściwą formę. Nie obrywają się przytem wieszaki pod wpływem zwisającego ciężaru. Zamoczone ubranie nie załamuje się w brzydkie i nieestetyczne fałdy.

To samo zupełnie dotyczy sukien i ubrań. Żaden przedmiot nie powinien być rzucany w pośpiechu, a natychmiast po zdjęciu powieszony na ramiączku.

Wydatek na ramiączka jest minimalny w porównaniu z korzyścią, jaką daje. Przyczem warto zaopatrzyć się w dużą ich ilość, tak ażeby każdy przedmiot wisiał osobno. Wieszanie kilku sztuk na jednym ramiączku jest niewskazane, gdyż przedmioty gniją się w ten sposób.

Warto przytem zwrócić uwagę, że istnieje cały szereg gatunków ramiączek od najtańszych do wykwinnych i składanych. Są też specjalne, które służą do spodni i męskich ubrań. Aby długie, wieczorowe suknie nie gniotły się dołem w szafie, treny należy podpinąć. Do bardzo delikatnych tkanin trzeba używać ramiączek obszytych watą i jedwabiem, co zapobiega wypychaniu ramion. Do sukien z dużym dekoltem używa się ramiączek z gumowymi gałkami, które zapobiegają spadaniu sukni z ramiączka.

Pamiętać również trzeba, że każda najszlachetniejsza nawet szafa przepuszcza pył. Dlatego też wszelkie jasne suknie i bluzki należy osłaniać. Zagranicą istnieją specjalne pokrowce-ramiączka, które powinny coprawdy i u nas znaleźć się w handlu.

Każdy przedmiot, przed schowaniem do szafy musi być wietrzony. Bo ubranie łatwo

W tym celu nosi się z zamiarem nie tylko wygłaszania odczytów, wydania broszur i książek, urządzania większych i mniejszych pokazów, lecz nawet otworzenia kursów instruktorek specjalnych, któreby wiedzę o stosowaniu jarzyn, o ich uprawie, o ich przechowywaniu i nakoniec o ich racjonalnym gotowaniu niosły do najdalszych krańców Rzeczypospolitej.

Tym pięknym zamiarom, tej zbożnej pracy szczęść Boże!

*Elżbieta Kiernawska.*

przechodzi potem i dymem z papierosów. Nawet najłżejsza suknia po kilkogodzinnej przebywaniu w zadymionym lokalu tak jest przesiąknięta dymem, że potrzeba paru dni na dokładne wywietrzenie. To też bardzo dobrze jest zostawić każdą najpierw na ramiączku nazewnątrz szafy do czasu, kiedy ostygnie i wywietrzeje i dopiero potem ją schować. Oczywiście chowanie do szafy powinno się odbywać dopiero po dokładnym oczyszczeniu. Wszelkie plamy wywabia się również „od ręki”, bo świeże o wiele lepiej dają się odczyszczać. Bardzo jest wskazane przeglądanie każdej sztuki garderoby od czasu do czasu i naprawianie małych uszkodzeń. Niedopatrzenie i niestaranność powodują nieraz dużo większe uszkodzenia, powstające właśnie z zaniedbania.

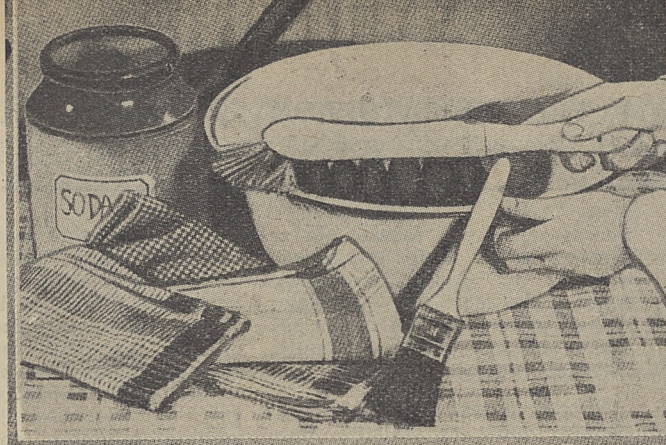
Bardzo ważna jest również sprawa umiejętnego siadania. Tył sukni lub palta bardzo się zagniatą od nieuważnego siadania i powstają stąd bardzo brzydkie załamania, które nieprędko się rozprostowują. Przed siadaniem należy zatem wyrównać tył ubrania co jest tem ważniejsze podczas wilgoci, upału, lub długotrwałego siedzenia.

Wrogiem świeżego i starannego wyglądu garderoby jest „pokładanie” się w porządnej dziennej sukni lub garniturze. Powstają stąd nieuchronnie brzydkie załamania, a całość ma charakter zmęczony i nieświeży.

Kapelusze, obuwie i parasole chowa się również po dokładnym wyczyszczeniu, kładąc i wieszając każdą rzecz na właściwym zgóry przeznaczonym miejscu. Wiadomo bowiem, jak duże znaczenie ma w konserwacji przedmiotów porządek i systematyczność. Niemniej ważne jest odprasowywanie garderoby. Wymaga tego każdy przedmiot od czasu do czasu. Najbardziej gniją się rękawy, tyły sukien, kolana w spodniach i wąskich sukniach. Odprasowywać trzeba wełnę na desce, po lewej stronie, przez mokry gałgan. Jedwabie nie znoszą zbyt gorącego żelazka. Odprasowaną garderobę wieszają na ramiączku i pozostawiają do zupełnego ostygnięcia na przeciąg 24 godzin. Te drobne zabiegi, opłacają się znakomicie, gdyż przyczyniają się wydatnie do utrzymania garderoby we wzorowym porządku.



# KURZ WROGIEM CZYSTOŚCI I ZDROWIA



Nieumiejętne sprzątanie da się porównać do błędnego koła. Czyścimy smoląc i smolimy czyszcząc.

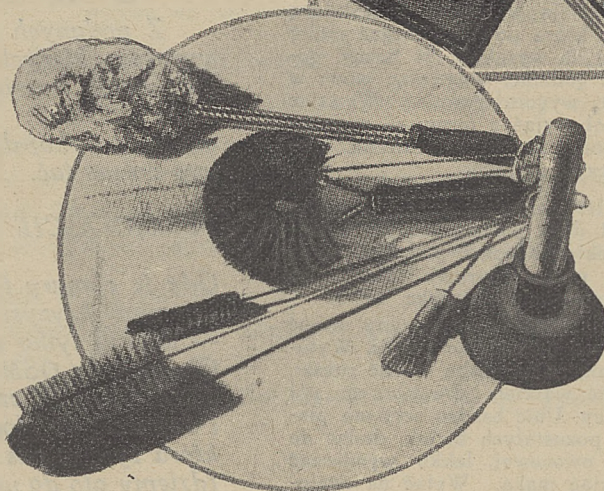
Głównym winowajcą jest tutaj kurz, którego tumany osiadają na meblach, ścianach, podłogach, drobiazgach. Nie umiemy dać sobie z nim rady, nie umiemy go opanować. A przecież i tutaj, jak zawsze i wszędzie trzeba tylko umieć sobie poradzić.

Chcąc nie podnosić kurzu szczotką wystarczy ją okręcić ścierką bawełnianą, albo osłonić woreczkiem zrobionym z bawełnianej tkaniny. W jednym i drugim wypadku tkaninę zwilżamy specjalnym pyłochłonnym płynem, który przyrządzamy na zapas w sposób następujący:

W pół litrowej butelce mieszamy pół na pół benzynę z terpentyną, wrzucając w ten roztwór 1 dk. wosku pszczelego drobniutko pokrajanego. Gdy wosk po upływie kilku dni rozpuści się płyn jest gotów do nakrapiania ścierek, czy woreczków przeznaczonych do osłaniania szczotek i ściereczek do wycierania kurzu. Ścierki i woreczki zwilżamy płynem w przeddzień wieczorem, nie w chwili użycia.

Pamiętajmy o tem, że wosk osiada na dnie, to też trzeba potrząsać silnie butelką przed użyciem, aby skłócić jej zawartość.

*Praktyczna.*



## PRZEPISY KULINARNE

**Kluseczki kładzione zaparzane.** Zagotować w rondelku szklankę wody z czubatą łyżką masła i odrobiną soli. Wsypać w gotującą wodę szklankę mąki pszennej osianej. Mieszać szybko, żeby się mąka nie zbiła w grudki. Podgrzewać chwilę na ogniu, mieszając, poczem wystudzić, wbić 2 jajka, wyrabiać około 10 minut dodając tyle mąki, aby ciasto było tak gęste jak na kluski kładzione.

**Paszteciki z ciasta śmietanowego z kapustą i grzybkami.** Porcja na ciasto: szklanka tłustej, gęstej śmietany kwaśnej (młodej), 2 szklanki mąki pszennej, łyżka masła, pół łyżeczki soli. Zagnieść, rozwałkować na pół palca grubo, wykrawać krążki sporą foremką blaszaną, kłaść pośrodku farsz. Brzegi ciasta zebrać do środka, mocno zaciskać palcami, formując karby. Piec na blasze posmarowanej masłem, wstawiając do pieca posmarować jajkiem. Piec powinien być dobrze gorący.

**Farsz z grzybków i kapusty.** Pół główki kapusty poszatkować bardzo cienko, obgotować, doskonale osączyć. Przesmażyć pół cebuli drobno usiekanej z 5 dk. masła. Uduśić kapustę w maśle z cebulką, dodając soli i odrobinę pieprzu. Gdy kapusta wydusi się do czystego masła zdjąć z ognia, dodać posiekane grzybki, na których goto-

wała się zupa, doprawić do smaku solą i białym pieprzem, wymieszać.

**Wyśmienity bigos ze słodkiej kapusty.** Porcja: główka kapusty, 10 dk. słoniny, 1 cebula, 2 łyżki konserwy pomidorowej, 2 kostki buljonu, 2 szklanki wody, łyżka czubata mąki. Mięso pozostałe z poprzedniego dnia (gotowane, albo pieczone), kiełbasa, okrawki od szynki w dowolnej ilości.

Kapustę poszatkować, sparzyć, osączyć. Drobniutko pokrajaną słoninę przesmażyć z posiekaną cebulą, włożyć w to konserwę pomidorową, kostki buljonu, wlać wodę, gotować dopóki się buljon nie rozpuści. Włożyć w ten smak kapustę, wymieszać, gotować bez przykrycia, na wolnym ogniu godzinę, dodając trochę soli. Po upływie tego czasu oprószyć kapustę mąką, wymieszać, zagotować, doprawić do smaku, dodając odrobinę octu, cukru, soli, troszkę drobno startego majeranku. Pokrajać drobniutko kiełbasę, mięso, okrawki od szynki, wymieszać z kapustą, przykryć szczelnie, wstawić na godzinę, lub dłużej do pieca, aby się bigos dusił powoli.

Jeżeli chcemy przyrządzić bigos wykwinny, a nie zależy nam na podniesieniu kosztu można dodać więcej konserwy pomidorowej, kilka grzybków suszonych, drobno krajanej zwierzyny (zająca), a na chwilę przed wydaniem na stół 2

łyżki wina madery. Po dolaniu wina nie trzymać bigosu odkrytego bo aromat wyparuje.

**Polędwiczki wieprzowe w sosie maderowym.** Upiec polędwiczki wieprzowe na maśle. Pokrajać w plasterki, włożyć do ozdobnej rynki ogniotrwałej, zalać sosem maderowym, przykryć, wygrzać jeszcze chwilę w piecu, albo z boku blachy. Podać przykryte.

**Sos maderowy.** Łyżkę masła zasmażyć z czubatą łyżką mąki. Rozprowadzić mocnym rosółem, zagotować. Dodać do smaku buljonu, soli, cukru, soku, cytrynowego. Zakolorować karmelem, zagotować. Przed zalaniem polędwiczek dodać łyżeczkę surowego masła deserowego i jedną, albo dwie (zależnie od ilości sosu) łyżki madery.

**Sos chrzanowy.** Korzonek chrzanu, szklanka mleka, szklanka śmietany kwaśnej 2 łyżki masła, mąka, ocet, cukier, sól, 2 żółtka. Utrzeć chrzan, lekko osolić, przykryć. Zasmażyć łyżkę masła z czubatą łyżką mąki, dodając trochę soli co przeciwdziała zbijaniu się mąki w grudki, wlać ciepłe mleko, zagotować mieszając. Po zagotowaniu dodać śmietanę, wymieszać, włożyć chrzan, zagotować, doprawić do smaku, postawić odkryty z boku blachy, aby chrzan trochę „wywietrzał”. Gdyby sos okazał się rzadki rozprowadzić jeszcze

### JADŁOSPIS TYGODNIOWY DOSTATNI:

#### NIEDZIELA

Buljon w filiżankach — paszteciki z kapustą w cieście śmietanowym.  
Zając w śmietanie — krokiety z kartofli.  
Jarzyny sezonowe z masłem.  
Suflet pomarańczowy.

#### PONIEDZIAŁEK

Zupa jarzynowa — klusieczki z naleśników.  
Ozorki cielęce w szarym sosie — kaszka krakowska na sypko.  
Sałata zielona.  
Strudel po wiedeńsku.

#### WTOREK

Barszcz z uszkami.  
Cielęcina zapiekana pod beszamelem — makaron włoski.  
Sałata z czerwonej kapusty.  
Andruty z kremem czekoladowym.

#### ŚRODA

Zupa pomidorowa ze śmietaną i ryżem.  
Szynce po wiedeńsku z jajami — jarzynki, przysmażane kartofle.  
Babeczki kruche z bitą śmietanką i konfiturami.

#### CZWARTEK

Zupa czysta ogórkowa (rosolnik).  
Polędwiczki wieprzowe w sosie maderowym — klusieczki kładzione zaparzane z masłem.  
Szarlotka z jabłek z rodzynkami.

#### PIĄTEK

Zupa grzybowa z łazankami.  
Dorsz w sosie chrzanowym — cafe kartofle.  
Brukselka z masłem.  
Mak z kruchymi ciasteczkami.

#### SOBOTA

Zupa neapolitańska z makaronem. Wątróbka po nelsonsku — sałata. Budyń orzechowy.



trochę maki mlekiem i dodać do sosu, poczem go zagotować. Na wydaniu zaciągnąć chrzan surowymi żółtkami rozprowadzonymi łyżką mleka.

**Pieczeń cielęca siekana zapiekana w kartoflach.** ½ kg. cielęciny bez kości, 2 bulki otarte ze skórki i namoczone w mleku, łyżka masła, 1 jajko, 1 żółtko, soli do smaku. 1 kg. ugotowanych kartofli, 2 jajka, łyżka masła, troszkę siekanej cebulki, soli do smaku, tarta bułeczka do posypania.

Wyżyłowaną cielęcinę zemieć dwukrotnie na maszynce. Bulki namoczyć w mleku, odcisnąć. Masło utrzeć na śmietanę, dodać bułkę, jajko, żółtko, ucierać wszystko razem na pulchną masę. Dodać mięso siekane, wyrobić doskonale (najlepiej rękami, jak ciasto). Rozgrzać na blasze od pieczenia łyżkę masła, farasz mięsny uformować w zręczny, gruby wałek, położyć na blasze. Kartofle obierane ugotować, odparować, przetrzeć przez sito. Dodać drobnutko siekaną cebulkę uduszoną z masłem, jajka, soli do smaku. Oblepić pieczeń ciastem kartoflanym, posmarować powierzchnię jajkiem, oprószyć bułeczką tartą, skropić obficie masłem. Piec spoczątku w gorącym, później w średnim piecu godzinę. Do pieczenia podać sałatę z kiszzonej, albo czerwonej kapusty, lub też ostry sos kaparowy, korniszony, czy ogórkowy.

**Wyborna sałata z czerwonej kapusty.** Główna czerwonej kapusty, pół cebuli, pół szklanki niezbyt mocnego octu, 2 kostki buljonu, cukru i soli do smaku, półtorej łyżki oliwy nicejskiej, 2 jabłka winkowate.

Poszatkować kapustę cieniutko, zalać zimną wodą, gotować 3 minuty bez przykrycia od zagotowania. Wylać na durszlak, osączyć. Włożyć kapustę na salaterkę porcelanową, zalać następującą zaprawą: pół szklanki niezbyt mocnego octu zagotować, dodając: pół drobnutko usiekanej cebuli, 2 kostki buljonu, łyżeczkę soli, łyżkę czubatą cukru. Gdy ocet trochę przestygnie zalać nim kapustę. Do wystudzonej sałaty dodać półtorej łyżki oliwy i 2 jabłka winkowate obrane i pokrajane w kostkę. Sałata powinna być doprawiona co najmniej na 2 godziny przed po-

daniem, aby się dostatecznie zamacerowała. Trzymać w zimnie.

**Pyza drożdżowa.** Proporcja: 2 szklanki maki, szklanka mleka, 4 jajka, 2 dk. drożdży, 2 czubate łyżki masła, 3 łyżki cukru pudru, szczypta soli. Szklankę maki rozczynić drożdżami rozprowadzonymi letnim mlekiem. Postawić w cieple. Do wyrośniętego rozczyntu dodać resztę maki, jajka ubite z cukrem, szczyptę soli, masło sklarowane i przestudzone. Wyrobić doskonale, włożyć ciasto do formy budyniowej wysmarowanej masłem i wyproszonej mąką, napełniając ją nie więcej, jak do połowy. Postawić w cieple, a gdy pyza wyrośnie, zamknąć szczelnie formę, wstawić ją w rondel z gotującą wodą, która powinna sięgać mniej więcej na wysokość ¾ formy, gotować godzinę, dolewając wody w miarę, wygotowywania. Wydając na stół wyjąć z formy — oddzielnie podać masło sklarowane, albo sok, czy konfitury.

**Suflet pomarańczowy.** Proporcja: 1 duża pomarańczę, pół cytryny, szklanka cukru pudru, 8 jajek, łyżka maki pszennej. Masło do wysmarowania półmiska.

Pomarańczę i pół cytryny utrzeć na tarce odrzucając pestki. Wyłożyć miąższ na miskę, dodać cukier, wierceć wałkiem drewnianym pół godziny. Ubić bardzo sztywną pianę z pozostałych białek, dodać do masy owocowej, lekko wymieszać pudrując mąką. Wylać na ogniotrwałe półmiskę masłem wysmarowaną, wstawić na górną kondygnację do średniego pieca. Piec 20 minut, z czego ostatnie 5 minut na dolnej kondygnacji pieca. Wydawać na stół wprost z piecyka, bo bardzo łatwo opada. Można podać do sufletu pomarańczowego sok malinowy.

**Strudel po wiedeńsku z marmeladą morelową.** Proporcja: 8 żółtek, 7 łyżek cukru pudru z tłuczoną wanilią, 5 łyżek młodej, gęstej kwaśnej śmietany, 20 dk. maki pszennej. Masło i mąkę do blachy.

Utrzeć żółtka z cukrem i wanilią do białości. Dodać śmietanę i mąkę wymieszać, dodać pianę z pozostałych białek, wylać na blachę posmarowaną masłem i wyproszoną tartą bułeczką. Piec 20 minut w

dobrze ogrzanym, jednak nie zagorącym piecu. Upieczony strudel wyrzucić na deskę, posmarować dosyć grubo marmeladą morelową, zwinąć, położyć na podłużnym półmisku, posypać cukrem z wanilią, pokrajać w skośne plastry.

**Mleczko kawowe.** Proporcja: 2 szklanki mleka, 2 szklanki śmietanki, pół szklanki bardzo mocnej, aromatycznej kawy czarnej, 3 całe jajka, 6 żółtek, ½ kg. cukru pudru.

Zmieszać mleko ze śmietanką,

zagotować i wlać kawę, nakryć, wystudzić. Ubić jajka i żółtka z cukrem, wymieszać z przestudzoną kawą. Głębokie filiżanki wypłókać wodą, wyprószyć cukrem pudrem, napełnić przygotowaną zaprawą, ustawić w płaskim naczyniu, podlać wodą, tak aby sięgała do wysokości ¼ filiżanek, przykryć szczelnie i gotować dopóki mleczko nie zetnie się całkowicie. Wtedy wyjąć filiżanki z wody, wynieść do zimna i podawać silnie oziębione z drobnymi, lekkimi biszkopcikami. Melba.

## Logogryf propagandowy

Z podanych zgłosek ułożyć 15 pięciogłoskowych wyrazów, których środkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

**ZGŁOSKI:** Dy-two-kry-nie-kie-za-sło-ją-bić-wi-my-ta-ta-ta-kój-dzę-uf-ła-kie-ją-gąc-czy-wa-świ-ra-śni-wro-po-mo-tać.

CZTERNASCIE się uśmiechać, TRZYNASCIE  
lśni słońce.

Gdy je chmury PIĘTNASCIE, zachować pogodę  
i pomimo kryzysu brać życia urodę —

— umieją tylko serca świat SZESĆ miłujące.

Chcemy, by ÓSME były serca wszystkich kobiet.

JEDENASCIE czas smoka, który zwie się: smutek

i dopuścić do głosu tę radosną nutę,

która żyje w nas przecie, choć tkwimy w żałobie...

Idziemy oto do was z nadzieją i wiarą,

niosąc światło, rozrywkę i życziwe CZWARTE.

Jeżeli zrozumiecie prawdy w nich zawarte,

rozjaśnią one może DRUGĄ dolę szarą...

SIEDM nie bajkę, lecz prawdę precudną przyszłości,

że DZIESIĘĆ dziś zamknięte, jutro się otworzą,

że ten dzień, co DWANASCIE, jest ziszczenia zorzą,

że DZIEWIĄTY i miłość pośród nas zagości!

Czy sprzyjasz nam? Czy wierzysz w wysiłki

najszersze?

PIĘĆ ci — niech CAŁY będzie twoim przyjacielem!

Od siebie zaczynając, dokonamy wiele!

Czy, TRZY, chcesz z nami nowe, lepsze jutro

PIERWSZE?

Alina Kwiecińska.

Za dobre rozwiązania tego logogryfu redakcja  
przeznacza dwie książki, termin nadsyłania rozwiązań  
14-dniowy.

TREŚĆ NUMERU: Pojedynczo czy gromadą — Z. Zaleska. Król-Obywatel — Zofja Popławska. Na marginesie przeżytej amnestji — Zofja Petersowa. Miasto romantyzmu — M. S. Okno na świat — Argus. Uzurpator — powieść — William Locke. Gałązka jemioly — dokonanie — Janina Chamiec. Elektrownia dla dzieci — H. Iwaszkiewiczówna. Stanisław Noakowski — Jadwiga Puciata-Pawłowska. Małe niedole życia towarzyskiego — przyjęcia — Jadwiga Kiewnarska. Chusteczki point-lasse. Piękność pleców. Codzienna Gimnastyka. Poduszka z aplikacją — Mariog. W obronie dnia powszedniego — Człowiek człowiekowi wilkiem — Wanda Dobrzańska. Warzywnictwo podstołeczne — Elżbieta Kiernawska. To też wymaga starania. Kurz wrogiem czystości i zdrowia. Przepisy kulinarne. Jadłospis tygodniowy. Dostatni — Melba. Logogryf propagandowy — Alina Kwiecińska.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA Wanda Dobrzańska.

KOMITET REDAKCYJNY: Jadwiga Krawczyńska, Marja Minchejmerowa, Zofja Petersowa i Alma Stodolska.

WYDAWCA: Kobieta Spółdzielnia Wydawnicza.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI Warszawa, Okólnik 11-a, tel. 666-35. Konto PKO 13191.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.



Wzywamy wszystkie Prenumeratorki i Czytelniczki Tygodnika Kobiety, aby się zapisywały na członkinie Spółdzielni.

Chcąc to uczynić należy wypełnić podaną poniżej deklarację, wpłacić na konto P.K.O. 13.191 — 2 z! wpisowego i co najmniej połowę sumy zadeklarowanych udziałów, deklarację wyciąć i przesłać pod adresem redakcji i Zarządu Spółdzielni: Warszawa, ul. Okólnik 11-a. Telefon 666-35. Na ostatniej stronie podajemy wyciąg ze Statutu Spółdzielni.

Nr.

.....  
nazwisko

.....  
imię

.....  
rejestr

## DEKLARACJA

Ja, niżej podpisana,

.....  
(nazwisko)

.....  
(imię)

z zawodu .....

, zamieszkała w .....

.....  
(wieś)

.....  
(nazwa wsi lub miasta, poczta ulica i numer domu)

oświadczam, że wstępuję do Spółdzielni pod nazwą *Kobiecego Spółdzielni Wydawnicza*  
w Warszawie, z odpowiedzialnością udziałami

że znam statut i zadania Spółdzielni i pragnę współdziałać w ich urzeczywistnieniu. W tym celu zobowiązuję się:

1. Stosować się do przepisów każdorazowo obowiązującego statutu, uchwał walnych zgromadzeń, postanowień Rady Nadzorczej i Zarządu Spółdzielni.
2. Prenumerować co najmniej jedno z czasopism wydawanych przez Spółdzielnię.
3. Wpłacić wpisowe w sumie zł. 2 oraz wpłacić ..... udziałów po zł. 10 na rachunek zadeklarowanych udziałów wpłacić niezwłocznie zł. ...., a pozostałą sumę wpłacić .....
4. Odpowiadać za zobowiązania Spółdzielni na mocy znanych mi postanowień statutu tylko zgłoszonymi udziałami.

....., dn. ....

193...r.

.....  
(własnoręczny podpis)

Przyjęto do Spółdzielni dn. ....

193...r.

.....  
(Pieczęć i podpis pod pieczęcią  
członków Zarządu)

Adres: .....

Data urodzenia .....

Zawód .....

Odcisnąć i przesłać do Redakcji

Nasze własne pismo powinno zadowolnić każdą z nas, powinno każdej przynieść to, co w niem widzieć pragnie. Aby się zorientować w zainteresowaniach naszych prenumeratorek prosimy o odpowiedź na następujące pytania:

1. Co Pani pragnie znaleźć w swem piśmie?

2. Jaki dział pisma interesuje Panią najbardziej?



# Wyciąg ze statutu Kobiecej Spółdzielni Wydawniczej

## I. Nazwa, cel, teren działalności, siedziba.

1. Spółdzielnia nosi nazwę: **Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza z odpowiedzialnością udziałami w Warszawie.**

2. Celem Spółdzielni jest: szerzenie wśród kobiet, zarówno członków jak i nieczłonków kultury, oświaty, wiedzy ogólnej i zawodowej przez:

- wydawanie wszelkiego rodzaju czasopism kobiecych,
- wydawanie broszur i książek,
- prowadzenie kursów, poradni i klubów,
- urządzanie wystaw, pokazów, odczytów, pogadek, wieczorów dyskusyjnych i t. p.

3. Terenem działalności Spółdzielni jest całe Państwo Polskie, siedzibą — Warszawa.

## II. Członkowie, ich prawa i obowiązki.

4. Członkiem Spółdzielni może być każda kobieta, która ukończyła 18 lat życia.

5. Członków przyjmuje Zarząd Spółdz. na podstawie złożonych deklaracji. W razie odmowy kandydatce przysługuje prawo odwołania się do Rady Nadzorczej.

6. Członek jest obowiązany:

- wpłacić wpisowe,
- zadeklarować co najmniej 1 udział,
- prenumerować stale co najmniej jedno z czasopism wydawanych przez Spółdzielnię,
- rozpowszechniać i popierać jej działalność i jej wydawnictwa,
- za zobowiązania Spółdzielni członkowie odpowiadają zadeklarowanymi udziałami.

7) Prawo członkowstwa wygasa:

- przez wystąpienie dobrowolne, zgłoszone przez członka na piśmie co najmniej na trzy miesiące przed końcem roku obrachunkowego,
- przez zgon,
- przez wykluczenie, które może nastąpić w każdej chwili na mocy uchwały Rady Nadzorczej, jeżeli członek nie wypełnia obowiązków członkowskich w myśl statutu i uchwał Walnych Zgromadzeń, nie prenumeruje chociaż jednego z wydawnictw Spółdzielni, popełni czyn nieetyczny, lub działa na szkodę Spółdzielni.
- Od uchwały Rady Nadzorczej, wykluczającej członka, przysługuje odwołanie do Walnego Zgromadzenia.

## III. Fundusze Spółdzielni.

8. Fundusze Spółdzielni składają się z funduszu udziałowego, funduszu zasobowego i specjalnych.

9. Wpisowe, bez względu na ilość zadeklarowanych udziałów, wynosi 2 zł.

10. Udział wynosi 10.— zł., z czego połowa musi być wpłacona przy podpisaniu deklaracji, reszta w ciągu dwóch tygodni od daty podpisania deklaracji.

11. Ilość zadeklarowanych przez kandydata na członka udziałów nie może przekraczać 50-u.

## IV. Organy kierownicze.

15. Organami kierowniczymi są:

- Walne Zgromadzenie,
- Rada Nadzorcza,
- Zarząd.

16) Walne Zgromadzenie zwołuje Zarząd przynajmniej raz do roku w terminie 3-miesięcznym po upływie roku obrachunkowego, zapomocą zaproszeń zawierających termin, miejsce i porządek dzienny Walnego Zgromadzenia, i rozesłanych co najmniej na 14 dni przed terminem Zgromadzenia, oraz zapomocą ogłoszeń w głównym organie Spółdzielni. Zwołane w ten sposób Zgromadzenie jest prawomocne bez względu na ilość członków.

19. Każdy członek, bez względu na ilość posiadanych udziałów, może brać udział w Walnym Zgromadzeniu tylko osobiście i z prawem do jednego głosu.

20. Do kompetencji Walnego Zgromadzenia należy:

- wybór i odwołanie Rady Nadzorczej,
- zatwierdzenie sprawozdania rocznego, bilansu, podziału nadwyżki oraz budżetu,
- oznaczenie najwyższej sumy zadłużenia,
- postanowienie sprzedaży nieruchomości,
- zmiana statutu.

24. Rada Nadzorcza składa się z 12 członków, wybieranych na 3 lata z pośród członków Spółdzielni. Co rok z Rady ustępuje  $\frac{1}{3}$  członków, w pierwszych latach przez losowanie, w następnych z kolei starszeństwa wyboru. Ustupający może być ponownie wybrany.

25. Członkowie Rady nie mogą pełnić stałych płatnych funkcji w Spółdzielni.

27. Do obowiązków Rady Nadzorczej należy:

- prowadzenie jaknajszerszej propagandy i zjednywanie nowych członków,
- powołanie i odwołanie Zarządu i zawieranie z nim umów,
- kontrola majątku Spółdzielni i działalności Zarządu,
- zatwierdzanie na wniosek Zarządu kontraktu kupna i najmu,
- wykluczanie członków,
- sprawdzanie sprawozdania rocznego i bilansu,
- rozpatrywanie i zatwierdzanie projektu działań, budżetu, podziału nadwyżki, jaki Spółdzielnia ma przedstawić Walnemu Zgromadzeniu.

28. Rada Nadzorcza konstituuje się wybierając przewodniczącego, jego zastępcę i sekretarza i prowadzi książkę protokołów swoich zebrań.

29. Zarząd jest powołany z pośród członków przez Radę Nadzorczą na czas nieograniczony.

30. Zarząd składa się z trzech osób.

31. Zarząd jest organem kierowniczym i wykonawczym Spółdzielni. Do jego zadań należy: bezpośrednie zarządzanie sprawami gospodarczymi, administracyjnymi i organizacyjnymi Spółdzielni,

35. Spółdzielnia prowadzi rachunkowość zgodnie z wymaganiami prawa handlowego.

38. Z czystej nadwyżki, jaka się okaże z bilansu, wydziela się nadwyżkę, pochodzącą z obrotów nieczłonków i przelewa się ją na fundusz zasobowy. Z pozostałego zysku przelewa się 20% na tenże fundusz zasobowy. Resztą zysków rozporządza Walne Zgromadzenie na wniosek przedstawiony przez Zarząd i Radę Nadzorczą.

40. Rozwiązanie Spółdzielni może być uchwalone tylko  $\frac{3}{4}$  głosów Walnego Zgromadzenia, które po powzięciu takiej uchwały wybiera 3 likwidatorów i określa sposób likwidacji z zachowaniem odnośnych przepisów, wskazanych w ustawie o Spółdzielniach.

Po uregulowaniu wszystkich należności w myśl ustawy o spółdzielniach, resztę majątku przeznacza się na cele społeczne.



## OD RANA DO WIECZORA

14. SUKNIA PRZEDOBIEDNIA O KROJU SPORTOWYM Z WEŁNY W KOLORZE BEIGE.

15. SWETER NOSZONY NA BIAŁEJ ANGIELSKIEJ BLUZCE.

16. SUKNIA WIZYTOWA Z MAROCAIN. PAS MATERJAŁU PODWINIĘTY U DOŁU JEST CHARAKTERYSTYCZNY DLA MODY DZISIEJSZEJ.

17. SUKNIE BALOWE. PIERWSZA – Z BIAŁEJ TAFTY, SPIĘTA Z BOKU GUZICZKAMI ZE STRASSÓW, DRUGA – Z NIEBIESKIEJ KORONKI NA SPODZIE TEJ SAMEJ BARWY.



14



16



17



15

PIĘKNY MEBL OKO PIEŚCI,  
MIESZKANIU DODAJE  
TREŚCI I PODKRĘŚLA  
WDZIEK NIEWIEŚCI.  
MEBLE: NOWY ŚWIAT 30





1



2



3

1. ŻAKIECIK Z CIEMNO-ZIELONEJ WEŁNY W BIAŁĄ KRATKĘ. KAMIZELKA Z CIEMNO-ZIELONEGO AKSAMITU.

2. SUKNIA SPORTOWA PIASKOWA W BRONZOWĄ KRATKĘ. PASEK Z CIEMNO-BRONZOWEGO ZAMSZU.

3. SUKNIA WIZYTOWA Z MATOWEGO JEDWABIU W LŚNIĄCE GROCHY. STUDIO DORVYN.